

W Tunisie i na Malcie

Stanisław Bełza

moja MALTA

*na*Malcie
Malta, Gozo i Comino
przewodniki po słonecznych wyspach

I.
W Tunisie

I. Między Marsylją a Tunisem. - Morze straszne. - Na pokładzie i w kajucie. - Wybrzeża Afryki.

Mianem «straszego» ochrzcił Salustyusz tę część Śródziemnego morza, jaka rozciąga się szeroką przestrzenią pomiędzy Włochami i Sycylią a Gibraltarem.

Przypomniałem sobie tę nazwę, kiedym po opuszczeniu zatoki Lyonńskiej znalazł się na otwartej wodnej płaszczyźnie, nie okolonej, jak okiem mogłem sięgnąć, żadną ziemną baryerą, przypomniałem sobie i to także, że poczynając od Cezara, a kończąc na Karolu piątym, nie gdzie indziej tylko tu znalazło grób tysiące marynarzy, ruinę setki okrętów, że jeszcze w niedawnej epoce wyprawy Francuzów do Algieru, dreszcze zabobonnego przerażenia przejmowały tych, którzy puszczaali się tu na zawodne fale w pogoni za władzą i sławą!

I zdało mi się, że to przypomnienie i mnie samego z nóg ścinało, i byłem nieledwie pewny, że gdy tyłu ludziom przedemną w tem właśnie miejscu poślizgnęła się noga, i ja na moich nie będę w stanie z pewnością bez szwanku się utrzymać.

I nie trzymałem się też na nich bez szwanku.

Dopóki jeszcze na dalekim widnokregu malowała mi się przed oczyma ziemia, dopóki dominująca w blasku złota na szczycie «Notre dame de la Garde» w Marsylii Bogarodzica, miłośnie mi przyświecała z poza chmur, błogosławiąc wszystkiemu i wszystkim, co gnani ciekawością lub interesem, sterowali ku czarnemu lądowi, było jeszcze ze mną pół biedy, ale gdy nagle to, co znajdowało się po za mną, rozplynęło się niby mgła, gdym uczuł, że z moją kruchą

łupiną jestem sam, między niebem tam w górze, a przepaścią tu w dole, gdy fale morskie z nieznaną mi dotąd wściekłością bić zaczęły w ściany tej łupiny, raz ją unosząc ponad powierzchnię wodną, to znowu pogłębiając w jej słonych nurtach, uczułem dziwną tęsknotę w duszy, jakąś ociężałość i jak gdyby do życia niechęć...

I powtarzałem sobie w myśli, że źle zrobiłem, rozstając się z twardym gruntem pod nogami, i pomimo, że ta Afryka wabiła mnie ku sobie urokiem nieznanego piękna, nieledwie żalowałem, że porzuciłem dla niej tę starą Europę, gdzie większa część mojego życia spłynęła mi nie bez bólów coprawda, (któż z nas jest od nich wolny?), ale w względnym przecież bezpieczeństwie i spokoju.

Bo ta choroba morska, której skutków tu na tem morzu straszem po raz pierwszy w życiu doznać miałem, bo ta choroba morska - jest doprawdy straszną chorobą.

Przychodzi powoli i milczkiem, niby kot po mysz skrada się nieznacznie i cicho, ale gdy cię raz weźmie w swoje objęcia, wytrzesie z ciebie siłę, energję, wolę.

I ciskać będzie tobą, niby piłką, obezwładniając i wiarę w lepsze jutro odejmując, giąc do ziemi jak wątłą trzcinę, póki nareszcie wygłodzonego i osłabionego, jakby na uragowisko, nie zwali z nóg tryumfująco, poszukując innej ofiary.

Ale zanim zwali, i osłabionemu sprowadzi błogosławiony sen na powieki, wpierv naznęca się nad tobą bez miłosierdzia.

Odejmie ci chęć do przyjmowania pokarmów, wytrąci z rąk mogącą twemu duchowi jaką taką przynieść ulgę, - książkę, wyrwie z otoczenia współników twojej niedoli, gdziebyś mógł w rozmowie znaleźć chwilowie zapomnienie, osamotni i obezsilni, byś czuł nad sobą niezwalczoną jej moc.

Chwilami oburzasz się na tę jej brutalność, powiadasz sobie w duchu, że siłą ducha pokonać ją musisz, zataczając się niby upojony trunkiem po pokładzie, patrzysz na morze, jak gdyby w nadziei, że nadpłynie ci ztamtąd jaki do twojej z nią walki sojusznik.

Nogi jednak gną się pod tobą, oczy zachodzą ci mgłą jak kataraktą, w uszach ci dzwoni, w głowie się kręci, nie widzisz nic, i tylko słyszysz zgrzyt szruby okrętowej, która cierpienia twego nie łagodzi, ale je, niestety jeszcze wzmacnia.

I szukasz dokoła siebie pomocy, oglądasz się za lekarstwem, i pytasz sam siebie, ażali jest podobnem, aby ludzie, którzy tyle środków na uśmierzenie różnych fizycznych dolegliwości wynaleźli, byli bezsilni wobec tego wroga, co im na przestworzach większych od twardej na naszej kuli pod nogami ziemi, tyle sprowadza cierpień.

Ale odpowiedź na to pytanie nadchodzi ci prędko, a nadchodzi z każdego zakątka twojej wątlej, ciśniętej na rozhukane fale łupiny: widzisz dokoła siebie blade twarze, zamglone oczy, pokurczone postacie, i to wszystko powiada ci wyraźnie, ach za wyraźne nawet! że z losem swoim musisz się, niestety, ze stoicyzmem i rezygnacją godzić.

Więc się godzisz. Udajesz jeszcze czas jakiś niepokonanego, oparty o balustradę parowca, spoglądasz bezmyślnie w dal, instynkt jakiś przecież szepcze ci do ucha, że w tej pozycji długo nie wytrwasz, trzymając się więc, jak pijany płotu, baryer, schodzisz do swojej kajuty, i bezwładnie rzucasz się, na znajdujące się w niej marne posłanie.

I leżysz nieruchomy, z oczyma utkwionemi bezmyślnie w sufit, nie rozmawiasz, jeśli masz do kogo, nie myślisz jeśli masz o czym, i porzucany raz w tę, to znowu w drugą stronę, w miarę, jak parowiec twój z głuchym jękiem odbiera ciosy od morza, prosisz nieba, by ci raczyło zesłać pokrzepiający sen.

Choroba straszna.

Ale zarazem dziwna i kapryśna.

Godzi nie w każdego i nie zawsze, ma swoich chwilowych faworytów.

Jak sobie upodoba kogo, walić z nóg wszystkich dokoła niego będzie, oszczędzając jego jednego, niby wybrańca losu.

Niechaj jednak to go w dumę przypadkiem nie wbija, niechaj nie sądzi w naiwności ducha, że może urągać jej sile, bo oto nagle i niespodziewanie, gdy tego najmniej oczekuje, gdy się najbardziej wpośród dotkniętych jej grotem pyszni ze swojej potencji, robi mu się mdło, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, i pewność siebie, ufundowana nu szeregu długich powodzeń, znaj-

duje dotkliwą, niejednokrotnie nawet zbyt dotkliwą karę. Doświadczyłem tego na sobie, - podróżując bez najmniejszego szwanku po niejednym morzu północy i południa, mniemałem, że mam coś w rodzaju talizmanu zabezpieczającego od tej choroby, aż nagle zakotłowało się raz jeden na tem Salustyuszowem «morzu strasznem», fale uniosły parowiec do góry, by go następnie przechylić z boku na bok, i liczba ofiar tej wszechwładnej tu królowej, powiększyła się, niestety, dla mnie o jedną.

Są jednak istoty, którym kapryśnica ta, nie okazuje nigdy faworów.

Kobiety.

Nad temi znęca się z okrucieństwem bezlitosnego kata.

Gdyby się tego nawet nie widziało na okręcie, czuje się to na każdym kroku.

Statek wypływa z portu, morze jak lustro, wiatr zaledwie porusza wodą.

Na pokładzie życie, rozmowa, gwar...

Dominują w tem kobiety.

Wesołe, uśmiechnięte, krążą z jednego miejsca na drugie, wpatrują się z wiarą w niebo, wzrok z nadzieją puszczają przed siebie w dal.

Ziemia znika, wiatr niespodzianie się zrywa, parowiec buja się jak kolebka.

Robi się wszystkim jakoś dziwnie, jakieś złowróżebne przeczucia ogarniają każdego.

Pokład zaczyna się opróżniać.

Przez kogo przedewszystkiem? Przez kobiety.

Schodzą powoli do swoich kajut, i tylko z ich opowieści, gdy się żywioty groźne uspokoją, można nabrać przekonania, że cierpienia ich były od tych, jakie dotykały mężczyzn, większe, i że trwały bez porównania dłużej.

Utrzymują niektórzy podróżnicy po morzach, że najlepiej w tych wypadkach nie schodzić do kajut, gdyż tam kołysanie silniejsze, niż na pokładzie statku.

Jestem w tym względzie odmiennego zdania.

Na pokładzie widać obszar morza, słycać ryk fal, czuć tę charekterystyczną ich woń, co przejmuje i odurza, potęgując już i tak dokuczające mdłości - w kajucie względna przynajmniej cisza, prawdopodobieństwo zapomnienia choć na chwil kilka, że się ma niezgłębioną przepaść pod sobą, wypoczynek dla rozigranej wyobraźni, prześladowającej groźnego niebezpieczeństwa obrazami.

Instynktownie też odgadują to kobiety, i to odgadują tak silnie, iż niektóre nawet z pomiędzy nich, przez cały czas podróży morskich, chociaż ich jeszcze choroba nie dotknęła, nie opuszczają ani na chwilę kajut, a nawet swoich łóżek, w przypuszczeniu, że gdy zamknięte morza widzieć nie będą, zapomni ono, iż się na jego powierzchni znajdują.

Nieszczęsne, nie wiedzą o tem, iż czuje ono ich słabość, i że właśnie dlatego, iż drżą w obawie przed niem jak liść osiny, poruszany wiatru powiewem, nie pozostawi ich w spokoju, nie da zapomnieć o swojej dokuczliwości i grozie.

Nieszczęsne, po wielekroć nieszczęsne, czyż bo tylko ten żywioł urąga barbarzyńsko ich niemocy, i czy wielu z pomiędzy tych, co żyją jak one i myślą, ale dominują nad nimi fizyczną swoją siłą, nie dają im uczuwać bezlitośnie na każdym niemal kroku, że ich słabość, miasto współczucia budzi w ich skrzepłych sercach i mózgach pogardę, i znęcania się nad nimi poządliwość?...

Podróż z Marsylii do Tunisu trwa trzydzieści cztery godzin.

Trwa bez przerwy.

Od chwili opuszczenia zatoki Lyońskiej, do chwili przybycia do portu w Tunisie statek nie zatrzymuje się nigdzie.

Płynie po obszarach otwartych, jednostajnych, pustych.

Nazajutrz po odbiciu od wybrzeży Europy, coś około południa, ukazuje się po lewej stronie jakaś zbita skalista masa.

Sardynja.

Wychodzi z morza nieśmiało, unosi się ponad jego powierzchnię coraz wyżej, i wschodnimi swoimi brzegami prowadzi parowiec długo.

I znowu nic, prócz wody i nieba, - i nas, małej drużyny, wyczekującej w fizycznym i duchowym wyczerpaniu i zmęczeniu, gościnniejszego od tego «straszego morza» - lądu.

Ale lądu nie widać.

I dopiero gdy już mrok nocy zwiastował nam koniec dnia, a środkiem bezgwiaździstego nieba rozpoczął odbywać odwieczną swoją wędrówkę błądy i smutny miesiąc, w dali

zamigotały nam mdłe światła.

Ukazały się i znikły, zabłysnęły raz jaśniej, to przygasły, trwały przecież - i tym uporem swoim w trwaniu, przeświadczały, że zapowiadają ziemię.

Wązki lecz głęboki kanał, łączący wtem miejscu środkiem płytkiego jeziora Afrykę z morzem, po tylu dotkliwych wstrząśnieniach, objął miłośnie naszą, skołataną niefortunną przeprawą łupinę, w swoje ochronne ramiona.

II. Polożenie Tunisu. - Kanalia Goulette. - Pierwsze wrażenie. - Typy w porcie.

Tunis leży nad morzem, ale zarazem i nie nad morzem.

W miejscu, gdzie przed założeniem jeszcze Rzymu rozsiadł się, jako część składowa państwa kartagińskiego, zatacza nieledwie prawidłowe koło wielkie jezioro, wlewające się do morza wązkim przesmykiem.

Niby rozwarte mi ustami, pije ono słońca jego wodę, ale pije ją tak leniwo i nieskwapliwie, iż dotąd nie przestało być płytkiem, i w całej swojej rozciągłości dla większych parowców nieprzystępnem.

To też do ostatnich nielewie czasów, bo do roku 1893, nie przybijały one do bram miasta, i podróżni z Europy, chcąc się do niego dostać, zmuszeni byli na brzegu wązkiego pasemka ziemi, na którym widzimy dziś La Goulette, przesiadać się do niewielkich statków, i środkiem jeziora odgradzającego morze od lądu, przedostawać się na brzegi Afryki.

Było to niedogodne w wysokim stopniu, narażało przyjezdnych na dużą stratę czasu, paraliżując ruch handlowy - to też Francya, stojąca już wtedy silną nogą w stolicy państwa Beja, postanowiła temu zaradzić.

I zaradziła.

Niby ulicę środkiem obszernego placu, wytknęła na tym jeziorze prosty jak strzała kanał, ocembrowała go z obu stron, by dna jego płytkiego piaski nie zamulały koryta, i dziś największe parowce i żaglowce, mogą swobodnie przystawać tam, gdzie dawniej niezbyt jedynie zagłębiające się statki, były w stanie dostawiać i to niezawsze bezpiecznie, ludzi, zwierzęta i rzeczy. Tym sposobem utworzono tu sztuczny port, w pierwszorzędnem mieście Tunetanii, rozbudowano niebывały przedtem ruch, Europa podała rękę Afryce.

Chwała Bogu, że w tem miejscu przynajmniej, ta jej ręka wnosi drugiej części naszego świata owoce cywilizacyi i pokoju, że od chwili, gdy się ku tym wybrzeżom wyciągnęła, tu przynajmniej nie przemieniła się jak pruska na wodach chińskich, W «opancerzoną» nowożytnych z Pomorza i Brandeburgii Hunnów - «pięść».

Dzięki zatem temu kanałowi, Tunis leży dziś nad morzem, ale niechby nieprzewidziany jaki wypadek uniemożliwił na nim prawidłową komunikację, znalazłby się nagle i niespodziewanie jak dawniej odcięty od morza, rozlewające się bowiem u jego progów jezioro, jest raczej dla swej płytkości przeszkodą w żegludze niż pomocą. Rzeczą jest inżynierii nie dopuścić, by coś podobnego nastąpiło, choć gdy się płynie środkiem kanału tego, i widzi pod wodą po obu jego stronach ławice jak na naszej Wiśle piasku, mimowoli rodzi się obawa, by podobna ewentualność nie stała się rzeczywistością.

Noc ciemna była, kiedy nasz parowiec przystanął u wybrzeży Tunisu, poranek był słoneczny i ciepły, kiedym, opuściwszy moją kajutę, znalazł się na pokładzie i powiódł okiem dokoła.

Zegar wydzwaniał właśnie 4 godzinę, słońce uszło już po nieboskłonie kawałek swej drogi, i zwróconemu w jego stronę Tunisiowi, poprzez lekką mgłę, posyłało promienne pocałunki.

Było pogodnie i jasno, w porcie wody nie muskał po powierzchni najlżejszy zefir, i tylko dalej poza nim, w wązkim ale długim kanale, widać było ruch fal. Morze Śródziemne, wlewając się długim korytem do portu, poruszało. jego wodami, nadając mu charakter wąskiej, ale głębokiej rzeki.

Spojrzałem przed siebie.

Przedemną roztaczał się obszerny plac. Roilo się na nim jak w ulu. Przyjście okrętu do przystani, to żniwo dla żyjących z pracy rąk, więc pościągali z nocnych kryjówek, by w pocie czoła zarobić na chleba kawałek.

Cisnęli się ku pomostowi, ofiarowali głośnym krzykiem swoje usługi, wyciągali błagalnie ręce, dając tym sposobem do zrozumienia, że pragną, gorąco pragną coś temu parowcowi ze swojej strony dać, i coś wzamian od niego, niezbędnego dla ich życia, wziąć.

Ale parowiec nie potrzebował tylu rąk, więc część ich tylko wpuszczoną została na pokład i do podziemnych magazynów, reszta, o oczach zazdrości pełnych, klęła i popychała się na łądzie, tworząc tu istne doprawdy piekło.

Piekło - tem bardziej, że uwijały się w niem ręczo postacie czarne jak szatany.

Murzyni.

Z wargami wywinętymi, ślicznymi perlistymi zębami, o oczach świecących, boski i łachmanami okryci, złorzeczyli najniezawodniej (bom języka ich nie rozumiał) głośno tym szczęśliwcom, którzy na statku literalnie w pocie czoła zdobywali sobie pewność, że w dniu dzisiejszym, ze swojemi rodzinami, tam w tem mieście, w norach, raczej zwierząt niż ludzi schroniska przypominających, będą mieli co jeść.

Uspokoili się jednak wkrótce, zgodzili z okrutnym losem.

Religia, której na równi z Arabami są wyznawcami żarliwymi, powiedziała im w duchu zapewne, że woli Ałłaha (niech będzie imię jego pochwalone) żaden prawowierny nie powinien się sprzeciwiać.

Wśród murzynów uderzają moje oczy ludzie zupełnie odmienni.

Odmienni i kolorem skóry, i ubiorem, i całym zachowaniem się swoim.

Okryci białymi burnusami, w okrągłych, przysłoniętych lekkim zawojem czapkach, odwrócone dnami do góry garnki przypominających, spacerują wzdłuż i wszerz placu, przyglądając się uważnie wszystkiemu.

Jak ci tam czarni towarzysze ich niedoli (bo i im wiatr także wieje w oczy) i oni nie zabrali znajomości jeszcze z trzewikiem, jak tamci, są odrapani i brudni, ale w udrapowaniu swoich długich burnusów wyglądają tu jak panowie, którzy choć przez kaprys przyoblekli się w sług odzienie, w każdym calu przeciw swojego ciała, jak Szekspirowski Lear był królem, są i pozostaną do śmierci panami.

Nic dziwnego, toć to Arabowie, niedawni jeszcze władcy tego kraju, zanim przekłęci chrześcijanie (śmierć im i zagłada) przyplłynęli tu na swoich poruszanych parą deskach, zepchnąwszy ich Beja na stanowisko podrzędne, i rozgościwszy się tam, gdzie on tak świeżo jeszcze wszechwładne wydawał wyroki.

Pogardę też dla tych chrześcijan znać w ich oczach, i choć obyć się bez nich nie mogą, choć z nich żyją, zawdzięczając im tyle, zawsze przecież postawą swoją mówią każdemu, że są u siebie, że to wszystko, co tu jest, stanowi ich bezsporną własność, i że nadejść musi przeciw ten czas, kiedy wszyscy przybysze z północy wrzuceni będą przez nich do morza.

Ale kiedy ten czas nadejdzie, żaden z ich błogosławionych Marabutów im nie mówi, ma zatem chyba rację ten Trumelet gdy w swoim dziele o «Świętych Islamu», zaznaczając ten stan duszy Mahometan Afryki północnej, powiada żartobliwie, że Francuzi mogą tymczasem jeszcze spokojnie oddychać, i że pospieszyliby się zbytecznie, gdyby już teraz zabierali się do pakowania swoich tłumoków, do powrotnej na zawsze do Europy podróży.

Gdzieniedzie pomiędzy temi afrykańskimi, spostrzegam europejskie postacie.

Uderzają mnie w oczy barczystemi swojemi kształty.

W bluzach lub kamizelkach, snują się pomiędzy tym tłumem, zepsutym językiem włoskim złorzecząc mu z gestykulacją namiętą.

To synowie Malty, napoły europejskiej, napoły afrykańskiej wyspy skalistej, przygnani tu za chlebem, którego im ich ojczyzna w dostatecznej ilości nie daje.

Ukochali oni tę Tunetanie, wspólnie ze swoimi braćmi Włochami, ściągnęli tu w znacznej liczbie, i dziś jest ich w tym kraju przeszło sześć tysięcy, na pięćdziesiąt tysięcy Włochów, a ośmnaście tylko tysięcy Francuzów.

To też ci ostatni, dzierżący tu rządy, zatrwożeni są tym ich napływem, patrzą na nich z niechęcią, jakgdyby w obawie, by im z czasem mrówczą, ale skuteczną zawsze pracą nie wydarli tego, co uważają za bezsporną już swoją własność.

«Trzęba zapobiedz temu - woła w patryotycznym zapale Leroy Beaulieu - by Francya w Tunetanii nie wyhodowała jajka włoskiego».

Zapobiedz, ale jak zapobiedz?

Włochy są przeludnione i od Francyi bliższe, ludność wzrasta w nich niepomierne szybciej, odpływ więc jej ku temu krajowi będzie zawsze bezporównania silniejszym, jest on bowiem przede wszystkim naturalnym.

A walka z naturą mści się zawsze i wszędzie na zuchwalcach, którzy niebacznie baryery jej stawiać zamyślają.

Jest więc dokoła mnie na tem afrykańskim wybrzeżu, ścisk, gwar, ruch.

Języki wschodu i zachodu mieszają się z sobą, tworząc mozaikę dziwną i dla uszów nieprzyjemną, grupy ludzi przelewają się z jednej strony na drugą, nie pozostawiając na placu nieledwie wolnego dla mnie do przejścia miejsca.

A tam za mną?

Ukołysani snem słodkim, śpią w kajutach swoich, współtowarzysze mojej podróży z Europy, i w spokoju śnią niezawodnie o cudach tej Afryki, którą zwiedzają być może już w tej chwili, na złotych skrzydłach marzeń.

Czy też wśród promiennych postaci, przesuających im się niezawodnie przed ducha wzrokiem, dostrzegają oni tych obdartych i bosych nędzarzy, jacy w burnusach i nieledwie że bez odzienia, wylegli w poszukiwaniu chleba na ten brzeg spieczony i pusty, witając mnie o tej wczesnej godzinie, na progu swojej ojczyzny, niemym, a przecież jakże silnie wstrząsającym głosem poniewierki i niedoli?...

III.

Z dziejów Tunisu. - Regencja francuzka. - Przechadzka po mieście europejskiem. - Ogólna jego charakterystyka. - Echo z kraju.

Kiedy po odbyciu mniej lub więcej uciążliwej podróży, znajdzie się w mieście tej wielkości i tego politycznego znaczenia, co Tunis, do głowy same cisną się pytania, jak dawno to miasto w tem miejscu stoi, jaka jest jego w pasmie wieków historia, dzięki jakim kolejom losu stał się dziś na tem afrykańskim wybrzeżu, miastem, jeżeli nie francuzkiem jeszcze, to przecież ulegającym wpływom francuzkim, polem na szachownicy, po której manewruje francuzka wola i ręka.

Z dziejów dawnych i współczesnych wiadomo wprowadzić coś niecoś o tem, mimo to jednak, skoro się tu nogę postawi, zagląda się ponownie do ich księgi, odświeża wspomnienia, które wtedy oderwane i mgliste, dziś nabierają aktualności, wobec tych murów, na które się spogląda, tej ziemi, po której się stąpa, tego powietrza, które się w piersi wciąga. I przejmując się niemi żywiej, mowę przeszłości rozumie się dokładniej, wciela się, że tak powiem, w to, co tu kiedyś było, bo to, co się tu widzi, czego się rękoma dotyka, jest niby kluczem, rozwierającym podwoje źle lub powierzchownie zwiedzonego budynku, komentarzem, rozjaśniającym źle lub niedokładnie rozumiane słowa.

Pierwotna historia Tunisu, to historia Kartaginy. Powstał jednocześnie, lub mało co później od niej, ma jak ona fenicki początek, dzielił do końca jej losy.

Gdy Rzym zwycięzki powalił o ziemię groźną swoją rywalkę afrykańską, wspólnie z nią utonął w rzymskie morze, ale ją przeżył, mniej od niej wystawiony na mściwość siedmiopagórkowego grodu, i gdy po niej, już tylko tradycja pozostała, znany był w świecie jako część składowa państw, co na gruzach innych, powalonych przez siebie, chwilowo siały tu postrach i grozę. Więc Bizantyńczyków, więc Wandalów, więc Greków i wyznawców Islamu!

Snać z tych wszystkich, co tu gośćmi byli, ci ostatni znaleźli w tem miejscu najpodatniejszy dla siebie grunt. Przyszli bowiem z piasków Arabii, wygnali tych, którzy przed nimi panowali, i rozlawszy się niby szeroka woda, niby woda zatopili dokoła wszystko.

I nie pozwolili się jut ztąd usunąć, narzucili krajowi temu swoją religję, swoje obyczaje i zwyczaje, wciągnęli go w krąg swoich społecznych ideałów, i wycisnęli na nim tak silnie mahometanizmu pieczęć, że tej nie zatarł, ani wydający tu przez pół wieku rozkazy, Hiszpan, - wczoraj, - ani protektor tego kraju, Francuz, - dziś.

I nie zatrze, mimo że przyniósł tu swoją wiarę, jak ziarno po polu, rozsiał dokoła swoją kolonizację, pobudował drogi, porty, kanały, całe miasta, mimo że otworzył szerokie na północy rynki zbytu, dla narodowych bagactw.

Nie zatrze, - bo ten Islamizm zapuścił tu tak silnie korzenie, iż wyrwać ich z ziemi stało się już niepodobieństwem, bo wcisnął się wszędzie i przeniknął sobą wszystko, bo rozwija się i żyje nie sztucznie, ale naturalnie, nie myśląc o śmierci, życiem. Jest rozumnej polityki rzeczą, ze stanem tym się liczyć i stan ten uszanować.

Arabowie zatem usadowili się w tym kraju w siódmym wieku po narodzeniu Chrystusa. Emirowie rządzą w Tunetanii, i rządzą nią do pierwszej połowy 16 stulecia, w którym to czasie, flota turecka zdobywa ją dla sułtana Solimana. Z kolei następuje półwiekowy peryod władztwa hiszpańskiego, aż nareszcie na tronie w Tunisie zasiada samowładny Bej, więcej pozornie niż w rzeczywistości zawisły od Konstantynopola. I właśnie jeden z nich, w Maju

1881 roku, zrujnowany piętę i obezwładniony politycznie, w Bardo podpisuje traktat z Francją, mocą którego, cały jak szeroki i długi swój kraj, oddaje pod jej protektorat.

Zrzeka się na jej korzyść swojej władzy wojskowej i dyplomatycznej, pod jej kontrolę poddaje swoje finanse, i ustępuje w Tunisie miejsca rezydentowi francuzkiemu, a sam ze swoim dworem i haremem wynosi się do małej miejsciny. Marsa, gdzie gra rolę prawdziwego króla z operetki.

Z nieograniczonego władcy kraju, staje się cieniem władcy, w miejsce siebie podstawia Francję, dzierżawy jej ciągnące się już długą linią od granic Marokanii, daleko rozszerza na wschód Afryki.

I dzięki jemu, Francya jest tu teraz prawdziwą panią, rozporządza się jak u siebie w domu, podczas gdy on tam na północy, nieopodal tej Kartaginy, która padła tak niegdyś pod naciskiem obcych, jak on dziś padł, w otoczeniu swoich, nieodstępnych w złej i dobrej doli - kobiet, myśli zapewne o znikomości rzeczy ludzkich.

Niech myśli, - a my tymczasem rozpocznijmy zwiedzanie tego nowego Tunisu, jaki tuż przy tym starym, będącym nie tak dawno jeszcze jego rezydencją, wzniosła ta Francya, która jest dziś tu wszystkim.

* **

Plac, na którym było tyle ruchu i gwaru, kiedym postawił na nim nogę po opuszczeniu mojego parowca, nie jest jak dotąd prawidłowo zabudowanym. Stoją wprawdzie na nim tu i owdzie domy, ale stoją rozrzucone bezładnie, nie formując w żadnym miejscu, zawiązka nawet regularnej ulicy. Trzeba więc ująć kawałek drogi, by spostrzedz, że się jest w mieście i to nawet dużym mieście, że się trąca łokciami o ściany, w których ludzie żyją wygodnie, wcale nie gorzej od stałych mieszkańców Europy, a może nawet od wielu z pomiędzy nich i lepiej. Nic dziwnego, toć zaraz za tym placem rozsiadła się dzielnica europejska, nie mająca nic wspólnego z tym tłumem, z jakim się dopiero co rozstałem, i przeznaczona bynajmniej nie dla tego tam tłumy.

Zamieszkują ją przybysze z północy, Francuzi, Maltańcy, Włosi, i ci tu chcąc być niby u siebie w domu, urządzili się jak u siebie.

Na kanwie arabskiej wyhaftowali desenie europejskie, i mają pod tem niebem Afryki, w granicach przynajmniej własnych progów, Francję, Malte, Włochy.

I niewiele ich obchodzi, że ten tam tłum szary na ulicy, uważa ich za przybłędów i najezdźników, połowę bowiem życia spędzając w swoich domach, zdaje się im, że tych tam poza płaszczyznami tego kapryśnego morza dotąd jeszcze nie opuścili.

Zdaje się im... a przecież iluż to z pomiędzy tych ludzi nie będzie sądzonym nigdy w życiu już ich ujrzeć, ilu marzących o powrocie po dorobieniu się majątku do Europy, złoży tu w tej Afryce swoje kości! Piłką jesteśmy, którą rzuca los, niby kapryśne dziecko, i niby piłka padamy nie tam, gdzie chcemy, ale tam, gdzie nas skierowała nie nasza, lecz obca wola...

Zatem za placem pustym, wznosi się miasto europejskie. I jakie jeszcze miasto! O ulicach szerokich i powietrznych, przecinających się pod kątemi prostymi. Taka «Aleja marynarki», mogłaby bez sromu sąsiadować z Ringami Wiednia, lub Bulwarami Paryża, a «Aleja francuzka» wygląda jak gdyby ją pod to niebo Afryki dopieroco przeniesiono z Marsylii lub Tulonu. Domy wysokie i eleganckie, szerokie chodniki, wspaniałe kawiarnie i wystawy sklepowe, wszystko jak w pierwszorzędnym centrach Europy, i tylko ten skwer

palmowy, jaki uderza na wstępie moje oczy, mówi mi, że to świat inny i choć pod europejskim wpływem przeobrażający się z dnia na dzień, różny przecież od Europy.

Jest godzina wczesna bardzo, mieszkańcy tego miasta śpią jeszcze snem sprawiedliwych. Po ulicach snują się postacie, z jakimi zabrałem znajomość w porcie. W tłumie Mahometan, których Tunis, na przeszło 130.000 mieszkańców liczy blisko połowę, dostrzegam żydów, o charakterystycznym wyrazie twarzy, po którym poznać ich wszędzie można. Dostrzegam i małych chłopców, uwijających się szybko z szuwaksem i szczotkami do butów, i lichą francuszczyzną namawiających mnie jeden przez drugiego, bym pozwolił oczyścić moje obuwie.

To mali Arabowie, nie chcący przymierać w domach głodem. Więc chwycili się lekkiego rzemiosła, i biegają dziesiątkami po mieście, oblegając każdego, kto zajął miejsce w kawiarni i wziął gazetę do ręki. Przyglądam się tym chłopcom z zajęciem, i żałuję, prawdziwie żałuję, że nie jestem malarzem, powiozłbym bowiem z sobą do domu galeryę ślicznych chłopięcych typów, o oczach wielkich i głębokich - i królewskich, chociaż w łachmanach ruchach.

Ludzie zatem, jacy mi tu wchodzą w oczy, gdy stali mieszkańcy tego europejskiego miasta, dla wczesnej godziny nie opuścili jeszcze swoich mieszkań, z Europą nie mają nic wspólnego, ale poza nimi, wszystko tu Europą jest. I te domy dokoła o włoskim na zewnątrz wyglądzie, i ten wspaniały pałac Regencji francuskiej, i ten mały, ale zgrabny kościółek naprzeciwko, mówiący, że tu, na tym maleńkim skrawku Afryki, nie Mahomet, jeno Chrystus jest panem.

Wszystko.

Zbaczam z głównej arterii ruchu, wchodzę w boczne proste i długie uliczki, widzę gmach poczty duży i ładny, hale targowe, jakich Warszawa dotąd doczekać się nie może. Hotele, niewiele ustępujące europejskim, restauracje od niejednej europejskiej nawet lepsze, kluby, telefony, kąpiele, banki. Teatrów w tej dzielnicy znajduję aż cztery, trzy księgarnie, pięć redakcji gazet francuskich, zakłady fotograficzne, wygodniejsze o wiele od warszawskich dorożki, I szyny tramwajów rozgałęziające się po całym mieście. Co cywilizacja Europy wytworzyła, co zżyło się nieledwie w Europie z nami, bez czego jesteśmy, jak gdyby wśród pustyni, - wszystko to przyszło tu z za morza, wyгнаło precz brud, zaduch, nieład, rozsiało się wszechwładnie.

Mam zatem tu Europę drugą, odgłosy jej dochodzą w tem miejscu do moich uszów.

Mam i coś droższego nad nią, echo duchowego pulsu mojego kraju.

Na jednym z gmachów, uderza mnie w oczy olbrzymi afisz.

Przyjezdna z Europy trupa włoska, w miejscowym teatrze zapowiada szereg widowisk.

Zapowiada czem?

Czytajmy i przetłómaczmy na nasz język jej słowa:

«Teatr tunetański. Trupa Józefy Catalanl, pod dyrekcją artysty Henryka Dominici. 11 Maja 1901. «Quo vadis», dramat w 5 aktach i 6 obrazach, przerobiony z romansu słynnego autora (dei celebre autore) Henryka Sienkiewicza, przetłómaczonego na wszystkie języki».

Doznaję nader przyjemnych wrażeń, z szybkością błyskawicy różne przesuwiają mi się po głowie myśli.

Więc pod to nieznanne mi niebo Afryki, przyszła ze swoją cywilizacją nietylko Europa, przyszedł i mój kraj, by się zaprezentować jej z tem, co jest najgodniejszym w każdym narodzie uczczenia, z płodem swojego niespożytego ducha.

I ten fakt przejmuję mnie dumą, i wpatruję się w ten afisz długo, i myślę, że ten duch budzić uznanie i uwielbienie musi wszędzie, jeżeli tylko ożywiać go będą tchnienia podniosłych ideałów, wiara, jak w tem «Quo vadis», w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości na świecie.

Bo literatura winna podnosić nie poniżać, winna rozszerzać horyzont myśli, nie ścieśniać, bo jej cel wzniosły wskazywać ludom i narodom, że światło świeci i zawsze świecić będzie w ciemnościach, i ciemności go nie pochłona.

I gdy taką jak ten «Quo vadis» jest, będzie zaszczytem swojego kraju, manną, karmiącą jak on dziś zgłodniałe rzesze w całej cywilizowanej ludzkości.

Tak myślę... a tymczasem słońce zakreśla coraz większy luk na niebie, upał staje się coraz dokuczliwszym, ulice zaludniają się coraz więcej, w ten tłum mahometański z tych domów i sklepów dokoła wciska się coraz więcej pokrewnych mi z Europy typów, - Tunis francuzki pogrążony tak niedawno jeszcze w śnie, rozpoczyna gorączkową swoją działalność.

Rozpoczyna o trzy godziny przynajmniej później, od tego tam mahometańskiego, który mnie o zaraniu powitał, gdym pokład mojego parowca opuszczał, a teraz u progów bramy francuzkiej, odgraniczającej dwa miasta, zdaje się zapraszać, bym zechciał zabrać z nim bliższą znajomość.

Wstępuję w jego mury, on bowiem, a nie ten francuzki jest tym magnesem, który na to afrykańskie wybrzeże ściąga żądnych nowego i nieznanego z całego świata.

IV.

Kwiat wschodu i Burnus proroka. - Ogólna charakterystyka Tunisu mahometańskiego. - Miasto pomiędzy dwoma jeziorami. - Domy i meczety. - Kasba i pałac Beja. - Przedmieście żydowskie. - Z haremu Muzeum.

«Kwiatem wschodu» i «burnusem proroka», zowią mahometanie ten swój Tunis.

«Burnusem», - zgoda, bo widziany zdaleka, niby burnus Beduina w pustyni uderza białością swoich domów, a narysowany na mapie, przypomina nieco, ten zrosły nieledwie z pojęciem Beduina płaszcz.

Ale dlaczego kwiatem?

Ani nie pachnie, gdy przestąpiwszy «bramę Francji» odetchnie się jego dusznym powietrzem, ani na swoich arteriach ruchu nie przedstawia tej harmonii barw i kształtów, jaka jest cechą najpośledniejszego nawet kwiecica.

Więc dlaczego kwiatem?

Może jest piękny, może uderza oko romantycznością swojej przyrody, wspaniałością domów, majestatycznością swoich przybytków bożych?

Pole, na którym od niepamiętnych czasów rozsiadł się dzisiejszy Tunis, jest obszerną płaszczyzną, wyciągniętą równolegle do morza, pomiędzy dwoma jeziorami.

Jedno z nich jest to właśnie, środkiem którego prowadzący kanał umożliwia statkom parowym dostęp do miasta, drugie ciągnące się w kształcie jajka po przeciwnej jego stronie, w, pewnych tylko, dżdżystych porach roku, na miano jeziora zasługuje.

Kiedym stanął nad nim ze szczegółową mapą Tunisu w rękę, zdawało mi się, że mapa nieprawdę mówi, ujrzałem bowiem, wielkie wydrążenie w ziemi, wody przecież w niem ani śladu.

Ale był to Maj, nastawała dla Afryki północnej sucha pora, miało więc już ono czas, z niegłębokiego zresztą wodnego basenu, przemienić się w dół, usiany maleńkimi grudkami pozostałej po wyparowaniu na jego spodzie soli.

Zamknięte z dwóch stron temi jeziorami, jednym płytkim, a drugim przez znaczną część roku suchem - pole tuniskie jest płaskiem, w jaknajszerszym znaczeniu tego słowa.

Nigdzie śladu nawet wzniesień znaczniejszych, nigdzie strumieni urozmaicających tak bardzo krajobraz, zrzadka tylko porastające grunt drzewa - i tyle.

Pustka szara, spieczona, smutna, oto tło, oto kanwa.

A teraz, co wyhaftowała na jednostajnej tej kanwie, budowniczego ręka?

Kto nie widział nigdy miast wschodu, i opuściwszy europejski Tunis, znajdzie się nagle w labiryncie uliczek wązkich i krętych, zabudowanych po obu stronach domami, o wiszących gankach drewnianych i oknach zakratowanych szczelnie, by znajdujące się poza nimi towarzyski doli i niedoli dawnych panów tej ziemi, mogły świat boży widzieć jak przez mgłę, ale nie mogły być ze świata widzianymi wcale - ten, przyznać trzeba, doznaje tu prawdziwie niezwykłych wrażeń, wszystko bowiem, co mu w tem miejscu wpada w oczy, odskakuje od tego, z czym się w zachodniej Europie zrosł, bez czego życie wydaje mu się, jakimś, nie do podźwignięcia ciężarem.

Kto jednak błądził już po ulicach Sztambułu i Ejubę nad Złotym Rogiem, komu nie jest obce tak jak nam azyatyckie Skutari, mahometański nawskróś Mostar, lub wschodnie dzielnice Serajewa, ten na to, co mu roztacza się przed wzrokiem w arabskiej części miasta, patrzy bez szczególnego zajęcia, zwłaszcza, że nie dostrzega tu nic takiego, coby mówiło,

że to miasto odskakuje od ogólnie znanego mu typu, wschodniego zbiegowiska ludzi, myślących o wszystkim na świecie, tylko chyba nie o tem, żeby domom, w których spędzają większą część swojego życia, nadać nazewnątrz wygląd przyjemny, przybrać je wewnątrz w to, co drogiemi sercu uczynić je może.

Bo te domy nie są rzeczywiście ani piękne, ani nawet wygodne, bo jeśli nasze podobne są do wielkich pudeł z licznymi otworami na zwróconej ku ulicom stronie, te przypominają dziecinne domki z kart, z równą zręcznością i harmonją wybudowane, jak te, jakie ku uciesze starszych stawiały w chwilach pustoty dzieci.

Ale cechuje je jedno, co jest nieznanym naszym, wyciągniętym pod sznur w większych miastach budowlom: różnaitość.

Przechodzimy niewielki placzyk giełdy, na którym bankierzy żydowscy, pod gołem niebem zmieniają pieniądze, i ulicę Al-Djazira, gdzie dostrzegają się jeszcze ślady kultury europejskiej, i wchodzimy w labirynt uliczek wązkich, brudnych, krętych.

Załamują się one w niemożliwy sposób, wyprowadzają nas raz na jakiś opuszczony cmentarz, to znowu na niezabudowane pole, uniemożliwiając oryentowanie się, nawet z najdokładniejszą mapą w ręku.

Co dostrzegamy po obu ich stronach?

Różnorodne, nazwy nawet pozbawione style, architektoniczne dziwactwa, wcielone w cegłę, ziemię pomieszana z kamieniami, drzewo.

Widać, że każdy buduje tu dla siebie, że nie troszczy się o swego bliźniego, że co więcej niewiele się troszczy i o siebie nawet, gdyby się bowiem troszczył, bez wielkiego wysiłku mózgu, potrafiłby wybudować tu coś powabniejszego i wygodniejszego o wiele.

Ale świat jest zajazdem, życie doczesne jedną chwilką, nie godzi się więc prawowiernemu zbytecznie zajmować tem, co jest jedynie krótką ścieżynką, prowadzącą ku wieczności.

Postawił tu więc dom piętrowy, o drzwiach wchodowych i oknach względnie przestronnych, ale tuż o jego murowane ściany, oparł komórkę, ledwie unoszącą swój dach ponad głowy, jakby w obawie, by w oczach współwyznawców nie uchodził za człowieka, zbytecznie troszczącego się o to, o co zabiegać zgoła nie warto. A tam dalej wznosił coś w rodzaju pełnej drewnianych przystawek stodoły, bez okien i kominów, niewiadomo czy dla ludzi, czy dla martwych przedmiotów przeznaczonej, a jeszcze dalej, nie budynek, ale projekt dopiero jakiegoś budynku, w którym się przecież uwijają czarne i brązowe ludzkie postacie.

I tak ciągle i tak nieledwie że bez końca. Haos, bezład a im dalej posuwamy się w głąb, tem tego więcej. Kiedy więc ujdziemy parę tysięcy kroków, mamy już i jednego i drugiego dosyć, i szukamy czegoś, co wśród tej mieszaniny wyróżnić się przecież, jak w każdym mieście, gdzie chwałę odbiera Ałlah, musi.

Szukamy meczetów.

Te w Tunisie są piękne. Ani słowa. Uderzają harmonją i powagą. Oko zatrzymuje się na nich z przyjemnością, dusza doznaje miłych wrażeń. O łukach regularnych i smacznych, o kolumnach jak w Sidi-Ben-Ahrus wysokich i kształtnych, wyglądają na prawdziwe domy modlitwy, w murach których ci wszyscy, co to miasto zamieszkują, szukają i znajdują ukojenie i spokój.

Co je jednak wyróżnia od meczetów Stambułu, Skutari i miast mahometańskich w Bośni i Hercegowinie, to brak zupełny kopuł. Niedosć tego, brak tych, niby igielki cienkie strzelających ku obłokom minaretów, co razem z tem i kopułami stwarzają, zwłասzcza też

nad wodami Złotego Rogu, dziwnie harmonijną i powabną całość. Zamiast tych igiełek, wdzięcznych i wiotkich, i Sidi-Ben-Ahrus i Sahab-el-Tabadżja, dwa meczety Tunisu, które nas najwięcej zajęły, przyczepiły do swoich ścian wieże, niebrydkie jak one same niezawodnie, ale ustępujące przecież o wiele tym, jakie nas przejmowały zachwytem, nie powiemy już w Aja Sofii, ale w świątyni Sulejmana i Ahmeta w Carogrodzie, lub w meczetach stolicy Bośni i w Mostarze.

Wyróżnia je od nich przecież i coś innego jeszcze. Oto gdy nawet w takim Konstantynopolu, gdzie rezyduje następca proroka, pan życia i śmierci milionów wiernych, z wyjątkiem jednego meczetu, za większą lub mniejszą opłatą, wszystkie bez wyjątku roztwierały przedemną swoje wrota, gdy w sąsiedniej Algierii, dostęp do wszystkich umożliwiony jest wyznawcom innych religii

nawet bez pieniędzy - tu w żadnym z nich nie powstała nigdy „żadnego chrześcijanina noga. Najwspanialszych, duchowych ozdób «Kwiatu wschodu» i «Burnusa proroka», «nie splamiło» nigdy jak Mickiewiczowskich mogił haremu w Krymie - «cudzoziemca spojrzenie».

Za to «splamiło» wnętrza pałaców Beja, ale to dzięki temu jedynie, że Bej ze swoim dworem kobiecym i męzkim wyniósł się na zawsze z Tunisu.

Niedaleko Kasby, niegdyś cytadeli hiszpańskiej i tureckiej, otoczonej murami wysokimi, a służącej dziś za miejsce pobytu dla garnizonu francuzkiego, na placu tego samego nazwiska, stoi pałac, w którym niegdyś władca Tunetanii przepędzał co rok miesiąc Ramadanu czyli postu.

Pałac z zewnątrz przypomina koszary, wewnątrz przecież udekorowany jest z całym przepychem wschodu. Zwiedziłem kilka jego sal, miałem więc sposobność przyjrzeć się dokładnie urzędzeniu, na jakie tylko ten, komu pieniądź przychodzi do rąk bez trudu, zdobyć się i to na wschodzie może. Adamaszki i safjany, o jaskrawych barwach dywany i brzozy, rozpościerało się to wszystko przed moimi tu oczyma, ale co zajęło mnie najwięcej, to te dokoła nad drzwiami, oknami i na suficie porozsiewane koronkowe ozdoby z kamienia, arcydzieła wdzięku, harmonii i cierpliwości ludzkiej. Wpatrywałem się w to ze zdumieniem, podziwiałem zarówno gust jak zręczność ich nieznanymi twórcami, i wierzyć doprawdy nie chciałem, że wyszło to wszystko z pod ręki, której jedno niewłaściwe dotknięcie zepsułoby całość, potargało pajęcze nitki, tworzące tu tak piękne, jak marzenie, z twardszego przecież od żelaza materiału – hafty.

Ten pałac budował Hamuda pasza, ozdabiał go wewnątrz niejeden. Każdy z tych co tu chwilowo gościli, dorzucał coś tu i owdzie od siebie, w przekonaniu, że: pracował dla siebie. Zawiódł się przecież... Przyszli z za morza ludzie, innego Boga czczący, i rozpostarli się wśród tych przepychów jak we własnym domu. I zajmują znaczną część budowli, porozmieszczali w niej

swoje urzędy, poustawiali wśród jej ścian swoje wojska, a ten, któremu miało to wszystko w chwili największego religijnego święta w Islamie służyć, zdala od tych wspaniałości pędzić jest zniewolony życie.

Czy też, kiedy dzień wielkiego postu nadejdzie, tęskni ort w tej swojej Marsie, tam obok ruin Kartaginy na północy, za temi czarodziejskimi salami, po których w milczeniu sięprzechadzał, rozmyślając o głodzie nad prawdami Koranu?

Czy tęskni?... Czy też może raczej śladem tych, co znikomości rzeczy ludzkich świadomi, upadek swój znoszą z godnością, siłą ducha tłumi w sercu tęsknotę za tem, co przeszło dla niego bezpowrotnie, co przecież i dla tych, którzy podstawili się w jego

miejsce, może nie być dziedzictwem wiecznym.

Te ulice, te meczety, ta Kaska i ten dawny pałac Beja - oto mahometański Tunis.

Jest tu jeszcze bazar wschodni, miniaturowe miasto kupców, o uliczkach wypełnionych kramikami, gdzie się rozsiedli przekupnie biali i czarni, jest dzielnica żydowska, brudniejsza i ciaśniejsza od tej arabskiej. Ale ten bazar wygląda niezmiernie ubogo w porównaniu z tym wspaniałym w Stambule, a ta dzielnica ciągnie chyba tych ku sobie, co radziby w tem, w całym tego słowa znaczeniu, mężkiem na ulicach mieście, zobaczyć młode, odsłonięte kobiece twarze. Kiedy się jednak im przyjrzy, a zwłaszcza też ich oryginalnym przybraniom, tym odwróconym do góry na głowach lejkom, odcinającym się od kruczych włosów, na tle różnokolorowych chustek, wychodzi się zażąd, bo ta dzielnica, jeżeli to wogóle jest możliwe, przedstawia obraz większego jeszcze opuszczenia, niż te sąsiadujące z nią dwie, które zagarnęli dla siebie mahometanie.

Taki jest Tunis dzisiejszy. Kto chce mieć ideję dawnego, niech podąży do Muzeum w Bardo. Nie zobaczy tam ani planów, ani rysunków nawet starych budowli miasta, ale ukażą mu się cenne z brązu, żelaza i marmuru okruchy, z których nabędzie niejakiego wyobrażenia i o ludziach, co tu przemieszkiwali i o przedmiotach, jakie lubili mieć pod ręką.

Przebiegam to Muzeum, dawny harem Beja tunetańskiego, z zajęciem, przyglądam się posągom rzymskim, mozaikom, których jest wielkie mnóstwo, pogańskim i chrześcijańskim lampom, ozdobom arabskim, hinduskim, egipskim, perskim, tej «syntezie», jak się wyraził Blanchere, dekoracyi Islamu, i z zadziwieniem wielkim, spostrzegam, że z Kartaginy, która ociera się nieledwie o Tunisu tego ściany, nie przechowało się wtem Muzeum prawie nic.

Rywalka Rzymu, wszechwładna pani mórza i handlu, dwa razy podziw i zazdrość z powodu bogactw, jakie nagromadziła w swoich murach - starego świata, tu w tem miejscu jest czemś w rodzaju kopciuszka, którego z powodu pokrywających go łachmanów, usunięto z konieczności w ką.

Czy tylko tu?

Czy tam gdzie stała, z kądy wydawała rozkazy, gdzie jej pokłony w hołdzie bito, gdzie ją przez zemstę raz zrównano z ziemią, by niby feniks odrodziła się z popiołów, zanim powtórnie bezpowrotnie padła, nie przechowało się po niej nic również?

Parogodzinna przechadzka wśród jej ruin, widok gruzów, jakie po niej pozostały, da nam na to pytanie odpowiedź.

V.

Kontury Afryki północnej. - Wybrzeża tunetańskie. - Z dziejów wielkiej chwały i wielkiego upadku. - Wśród ruin Kartaginy. - Co się w jej miejscu dziś widzi?

Wybrzeża północnej Afryki, są prawdziwą antytezą tych, jakie rozciągają się po przeciwległej im stronie morza Śródziemnego.

Przekonać o tem może najpobieżniejsza nawet mapa.

Podczas gdy europejskie, poczynając od cieśniny Gibraltarskiej, zataczaj, wzdłuż brzegów Hiszpanii i Francji ciągle łuki, by począwszy od Genui ku Reggio, zakreślić pełną fantastycznych załamań linię, te ciągną się prosto z zachodu na wschód, nie dając nieledwie że nigdzie wdzięczneg obrazu większych wgłębień.

Od dzielnic marokańskich do Oranu, od Oranu do Algieru, od Algieru do Bone i do Bizerty, biegną one monotonnie dla oka, gdzieniegdzie tylko, i to jak gdyby przypadkiem i niechcący odstępując od tej zabijającej jednostajności.

I dopiero za Bizertą załamują się gwałtownie, opuszczają ku dołowi, tworząc zatoki, i naturalne dla okrętów przystanie.

W najpierwszej za Bizertą zatoce, od niepamiętnych czasów usadowił się właśnie Tunis; na niewielkim przylądku, wysuniętym na północ od tego miasta wgłęb morza, mało co przed nim lub z nim być może równocześnie, rozsiadła się wszechwładnie Kartagina.

Kto ze znających pobieżnie chociażby dzieje, wspomina o tem bez podziwu, refleksyi głębokiej nad zmiennością okrutnych częstokroć losów, i nad oplakaną dolą ofiary ich kaprysów, - wzruszenia?

Kto?...

Czy, kiedy królowa Dydo nadpływała ku temu przylądkowi ze wschodu, by, jak opowiada Wojski w «Panu Tadeuszu» wytargować dla siebie:

« taki ziemi kawał,

« Któryby się wołową skór a nakryć dawał »,

przeczuwała swą intuicyą niewieścią, że na tym wyżebranym przez nią «kawale» dźwignie się kiedyś wielka potęga i wielka hekatomba, żaden z jej urzędowych historyografów, jeśli ich przy swoim boku miała, o tem nie wspomina, - że fortunną przecież była myśl usadowienia się na tych ale nie innych wybrzeżach, to chyba wątpliwości nie ulega. Bo zapoczątkowała tu taką wojenną i handlową potencję, jakiej równych niewiele historia wszechświata na swoich kartach zapisuje, bo posiadała tu ziarna, z których wyrosła w przyszłości rywalka Rzymu, o mały włos nie wszechwładna pani, narzucająca rozkazy swoje jak on po powaleniu jej na ziemię, trzem częściom całego świata.

Gdyby Hannibal po zwycięztwie pod Kannami, posłuchał był rady jednego ze swoich towarzyszków broni, i pospieszył «zjeść kolację na Kapitolu», zamiast w Kapui rozmiękczyć się w rozkoszach zmysłów, kto wie, jak ten świat dziśby wyglądał, jakiej cywilizacji słońce, przyświecałoby zamiast jak teraz łatyńskiej, nad całą zachodnią Europą.

Dziwnych doznaje się uczuć, gdy, bądź od strony Marsylii, bądź La Valetty na Malcie, podpływa się ku temu przylądkowi.

Parowiec wjeżdża w wielką, obramowaną niezbyt wysokimi zresztą górami zatokę, na dwóch krańcach której, Apollo i Merkury, panowali za czasów rzymskich wszechwładnie, i nagle. ukazuje się oczom usiany gajami oliwnymi i białe mi domami klin ziemi, unoszący się powoli ku górze, i ozdobiony na swoim wierzchołku, o maurytańsko-bizantyńskim stylu,

wielką budowlą.

Wszystko co tu stoi piękne i świeże, wszystko jak gdyby powołane zostało do życia dopiero wczoraj, nigdzie śladu nawet tych twierdz i murów, jakie tu niegdyś unosiły się dumnie nad ziemią, nigdzie cienia nawet tego, co tu kiedyś było rzeczywistością.

Wie się o tem, że inaczej być nie może, że Kartagina, która tu niegdyś stała, dwa razy wznoszona, dwa razy zniszczoną została doszczętnie, że nie zaznała ona litości nietylko od Rzymian, ale i od dzikszych od nich późniejszych najeźdców, że nie sam jeden czas tylko był tą rdzą, która ją gryzła - a przecież pogodzić się z tą myślą, że jest dziś na tym przyłądku niczem, nie chce, ten jej doszczętny niebyt, w miejscu, gdzie niegdyś była (i jaką jeszcze była !), odpycha się od siebie, niby coś tłoczącego pierś, ze wstrętem.

I gniewa się na tych ludzi, co nie zastawszy po niej żadnych niemal śladów, nie uszanowali przynajmniej jej cmentarza, że tam gdzie była kiedyś i znikła, porozpościerali się ze swojemi budowlami, że nie unosi się, jak powinien, nad jej dziś szczątkami, anioł wiecznego pokoju i śmierci.

Komu nie obca wymowa porozwalanych i opuszczonych grobów, kto w pustce brzemiennej wspomnieniami wielkimi, widzi coś więcej nad próżnię bezduszną, kogo razi naprzykład - renesansowy pałac na pełnym kości pobojuwisku, światło elektryczne w jaskini puszczyków, ten jeśli nie podzieli, uszanuje przynajmniej ten gniew.

Od strony morza więc, stara Kartagina jest dziś niczem, zastąpiła ją grupująca się powoli dokoła świątyni, w której Chrystus od niedawna cześć odbiera, nowa, - czem jest od strony lądu, czem darzy podróznego, gdy dostaje się do niej suchą nogą?

Opuszczamy Tunis, po dokładnem zwiedzeniu wszystkich jego osobliwości, wkrótce po południu.

Opuszczamy w dzień ponury i słotny.

Deszcz przekropujący od rana, przechodzi nieledwie że w ulewę, jak gdyby płakał nad dolą miasta, które założyliśmy sobie obejrzeć.

Jest ponuro i chłodno, szare obłoki wiszą ciężko nad naszemi głowami, ołowiane niebo, nieozłoczone żadnym promieniem słońca, roztacza się dokoła.

Wsiada się do powozu, drząc od zimna, i wierzyć się nie chce, że się jest w Afryce, o której w Europie mylnie sądzą, że jest - jakimś wyśnionem Eldorado, pełnem blasków, ciepła, woni.

Na tle ponurem pełnego wilgoci dnia, krajobraz przestrzeni rozciągającej się między Tunisem a Kartaginą, przedstawia się dziwnie smutnie. Słabo zadrzewione płaszczyzny, pola spieczone, pokryte miejscami marnem zbożem i trawą, w dali jezioro nieróżniące się nieledwie kolorem wody, od zawisłych nad głową rozplakanych obłoków - oto obraz, jaki ukazuje się oczom.

I dopiero u kresu podróży - zmiana.

Terren się podnosi, z poza mgły wychyla się zabudowany pagórek, ludzie z Europy, wchodzą na każdym kroku w księżych sutannach I cywilnych ubraniach, w drogę.

Kartagina !... Sen to, czy rzeczywistość?

W jednym ze swoich wspaniałych wierszy, najbardziej filozoficzny, I kto wie, czy nie najgłębszy ze wszystkich naszych poetów, Zygmunt Krasiński, oprowadzając swoją «piękną» po zwaliskach nadtybrzańskiemu forum, natchnionemi słowy opowiada jej, co w tem miejscu pełnem siły I chwały, «pozostało z dumy».

I dodaje słowami, których bez wzruszenia odczytywać nie można:

«I tu chadzali w purpurze i złocie

«Niesprawiedliwości,
«A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie,
«Nad prochem ich kości».

Jeśli te słowa wielkiego wieszczka są prawdziwe w odniesieniu do Rzymu, o ileż prawdziwszemi są, gdy się je na myśl przywodzi, znalazłszy się na terytorium Kartaginy?

I tu była moc wielka i duma wielka, i tu w pogoni za bogactwami pomiatano sprawiedliwością, i tu nie rachowano się z niczem prócz z siłą.

Ale gdy tam w istocie nie wszystkich «świątyń marmury», jak powiada poeta, «śpią w błocie», gdy pomimo lat tysięcy przechowały się tam pyszne dziś jeszcze łuki, olbrzymie cyrki i budzące ogromem swoim podziw pałace i termy, tu z olśniewających wzrok niegdyś wspaniałości nie pozostało rzeczywiście nic.

Zagrożony w swoim istnieniu po bitwie pod Kannami Rzym, gdy się wzmógł na siłach, nie pozostawił kamienia na kamieniu w Kartaginie, a gdy ją w swoim interesie w następstwie podniósł z gruzów, przyszli Wandalowie, Bizantyńczycy, Arabowie i dokonali powtórnego zniszczenia.

Marmury więc świątyń tego zdumiewającego niegdyś swoją potęgą i bogactwami miasta, śpią tu rzeczywiście w błocie, a na ich miejscu wznoszą się gmachy, nie mające wspólnego z niem nic.

W dziejach wszechświata mało jest miast, któreby doznały równej doli.

Czy jednak oskarżający wnętrzeziemi, nie dokopał się tu czego?

«Rezultaty poszukiwań, doprowadziły do przekonania, które stało się już prawdą naukową - powiada Ernest Babelon, uczony konserwator zabytków archeologicznych - że z Kartaginy, zniszczonej przez Scypjona przechowało się bardzo niewiele».

Szczałki murów całkowicie niemal przywalonych ziemią, parę grobowców - oto wszystko.

Nieco za mało, jak na miasto liczące w chwili swojego upadku przeszło pół miliona mieszkańców.

Ale mściwość Rzymu nie zała granic, palono Kartaginę po wymordowaniu jej mieszkańców, gorzała przez siedmnaście dni i nocy z rzędu, i zgorzała doszczętnie.

I tylko tam gdzie już żadną miarą ogień przeniknąć nie zdołał, przechowały się resztki skamieniałej cegły i kamienie grobowe, ale te, gdy się Im z zadumą przygląda, smutek tylko nie podziw budzą.

Kartagina więc punicka nie istnieje, istnieje rzymska, w słabych przecież ułamkach,

Na palcach zliczysz, czem się oczom przybysza popisuje.

Mur, zbudowany podobno przez Teodozyusza, cysterny w połowie porozwalane, coś, co miało być niegdyś świątynią, i amfiteatr, w którym zabijano kiedyś chrześcijan.

Nadto nic.

Nic, bo tych zczerniałych zrębów, wyszczerzających się tu i owdzie z krzaków, za «coś» uważać niepodobna, bo tylko fantazja pisarska, z nauką nie mająca wiele wspólnego, może dopatrywać się w nich resztek kąpielni Didony, pałacu prokonsula lub świątyni Junony!

Mimowoli, kiedy tu krążę, przychodzą mi na myśl inne ruiny, również po wielkim kataklizmie dziejowym pozostałe.

Syrakuzańskie na Sycylii.

I tam wstrząsnęło się wszystko w posadach, i tam nie utrzymał się jak był położony, kamień na kamieniu, ale tam przynajmniej z tego co pozostało, można sobie stworzyć obraz tego co było, - do życia to, co umarło wskrzesić.

Tu nie można.

Nie można Kartaginy punickiej, nie można rzymskiej.

I tylko poezya, niby bluszcz ruiny, opleść wdzięcznie jest tu w stanie te porozprasane kawałki zczerniałych murów, ale dzieło, jakie ukaże ona naszym oczom, będzie jak Salambo dziełem arcyzmu, nie przybliżonej jednak niestety I do prawdy rzeczywistości.

* * *

Dla czego, na te porozsiewane tu zrzadka szczątki murów, patrzy się jak gdyby ze współczuciem, czemu przypisać że choć przedstawiają się one tak marnie, odchodzi się od nich z niechęcią i ze smutkiem?

Czy miasto, po którym pozostały, zasłużyło się jak Rzym lub Ateny dla cywilizacji, czy było puklerzem wolności, ogniskiem rozlewającym dokoła promienie humanitarnego ciepła, i sztuk lub nauk jasnego światła?...

Historia odpowiada że nie.

Było, jeżeli się tak wyrazić można, olbrzymiem targowiskiem, państwem handlu, w jak najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Ale zarazem i w jak najmniej sympatycznym.

Dla korzyści materialnych poświęcało wszystko: inteligencję i krew swoich mieszkańców.

Nie uprawiało nauk, ani sztuk pięknych, nie dobijało się żadnych wyższych, uszlachetniających życie celów. Jak polip garnęło wszystko co mu stało na drodze, do siebie, przetrawiało w sobie, obracając na swoją wyłączną korzyść.

Poczynając od szóstego wieku przed Chrystusem, Kartagina stawała się powoli panią wszystkich dróg handlowych w Afryce.

Ale Afryki było jej za mało.

Tuż przy niej leżała bogata Sycylja, nieco na zachód Hiszpanja, zapragnęła więc je posiadać, by wzmódcz swój handel, dla którego ład czarny był za słabym rynkiem zbytu.

To ją uwikłało w wojny z Grecją i Rzymem.

Wojny z Grecją wzmogły jej potęgę.

Wydarła im Sycylję, usadowiła się silną nęą na Sardynii, Malcie i wyspach Balearskich. Doszło do tego, że cała wschodnia część morza Śródziemnego, słuchała wyłącznie jej rozkazów, a jej flota, składająca się z dwustu uzbrojonych galer, nie licząc olbrzymiej liczby statków przewozowych, postrachem napełniała całego południa Europy wybrzeża.

Z wzrostem bogactw, nie szedł przecież równomiernie wzrost dobrobytu składających Kartagińskie państwo ludów.

Przeciwnie, wyzyskiwano je niegodziwie, uważając za nawóz pod swoje zbiory.

Nie szanowano traktatów, gdy sądzono, że ujdzie to bezkarnie, dla zaborczych na prawo i na lewo wojen, posługiwano się najemnikami, ale okradano ich jak się tylko dało, - za krew przelaną, skapiąc im przyobiecane gołdu.

Oto jeden z przykładów.

Podczas tak nazwanych wojen punickich Kartagina potrzebowała więcej niż zwykle rąk barczystych i zdrowych piersi.

Obietnicą więc sutego wynagrodzenia ściągnęła do siebie zewsząd zbrojne tłumy.

Po skończonej wojnie postanowiła rozpuścić je do domów, ani myśląc przecież o

zapłaceniu umówionego żołdu.

To rozjątrzyło je do najwyższego stopnia.

W obawie o złe następstwa, rozpoczęto z nimi targi.

Obiecano dać każdemu żołnierzowi po sztuce złota, jeżeli tylko usuną się wszyscy z podbram stolicy na prowincję.

Najemnicy spełnili żądanie ojców miasta.

Cofnęli się do Sicca, przyobiecanych jednak pieniędzy nie dostali.

Wrzenie się wzmoгло.

Wtedy Senat Karłagiński wysłał do nich poselstwo, z zawiadomieniem, że z powodu wyczerpania skarbu, nie mogą dostać tego, co uważali już jak gdyby za swoją własność.

Propozycja ta, wobec uzasadnionego przekonania, że Kartagina opływała w dostatki, przepełniła miarę.

Postanowiono schwycić za broń, zemścić się na przengewiercach mieście.

Na wieść o buncie dawnych sprzymierzeńców, do szeregów tych ostatnich, zaczęły napływać zewsząd tłumy.

Wszyscy mieli jakieś niezłatwione rachunki z Kartaginą, wszyscy doznali od niej pokrzywdzenia, więc wszyscy stanęli zbrojnie przeciwko niej jak jeden mąż.

I byłoby źle z nią, gdyby nie genjusz Hamilkara Barca.

Rozpoczęto krwawe z nimi walki, i zmożono ich ostatecznie.

Ale hańba, hańbą pozostała.

Tyle krwi, tyle złota poświęcono, dla czego? Dla tego, by, nie dotrzymać słowa względem tych, którzy własnymi rękami wyjmowali dla Kartaginy kasztany z ognia.

A teraz przykład inny, wcześniejszy, ale i jaskrawszy.

Po wyprawie do Sycylii przeciwko Syrakuzanom, sześć tysięcy najemników zaczęło się domagać żołdu.

Kartagina, jak nieraz, wypłacić go im nie chciała.

Wtedy zażądano nowej wojny, któraby dała im przynajmniej sposobność zdobycia na nieprzyjacielu łupów.

Przyobiecano im wojnę.

Ale niech mówi za nas Diodor sycylijski:

«Okrety przybiły do wyspy, mającej być celem wyprawy, i żołnierzy wysadzono na ląd; Kartagińczycy przecież puścili się na otwarte morze, pozostawiając na lądzie niewygodnych najemników, którzy pomimo wściekłości, jaka ich ogarniała, nie mogli się na nich zemścić, i z głodu wyginęli co do jednego na wyspie!»

Domyślić się łatwo, że wszczęta dla pozbycia się oszukanych wojna, była fikcją, a wyspa uplanowanym z góry dla nich grobem.

Innym razem, nie chcąc zapłacić żołdu czterem tysiącom Gallów, wydano ich na pastwę Rzymianom, a raz nawet wymordowano najemników italskich, w obawie, że się domagać będą za swoją pomoc zapłaty.

Słowem, egoizm. do ostatnich posunięty granic, bezprzykładna chciwość złota, okrucieństwo i zdrada - oto charakterystyczne cechy Kartaginy.

«U Kartagińczyków - powiada Polibjusz, nie zasługuje na naganę nikt, kto jakimikolwiek środkami dochodzi do pieniędzy».

I żeby to jeszcze te pieniądze ściągane z kąd się tylko dało, topniały w massach, podnosząc ich oświatę i pomyślność?

Ale gdzie tam, dostawały się do rąk wyłącznie tym, którzy dzierżyli tu władzę, a tymi

byli oligarchowie, stanowiący czoło tej par excellence arystokratycznej republiki.

Oligarchowie - i to nie zasługi, nie urodzenia, lecz pieniędzy. Im który z nich miał więcej w kieszeni, tem więcej miał szans wypłynięcia na wierzch.

Ale jeżeli żywot tego dziwnego państwa liczy tyle na swoim politycznym sumieniu grzechów, jego zgon okupił je wszystkie.

Kto ze znających dzieje nie przyzna, że z ostatniej śmiertelnej walki z wszechwładnym Rzymem, Kartagina wyszła w jasnej glori chwały?

I nie tylko dla tego, że dała dowód bohaterstwa bez granic, lecz i dla tego także, iż wróg jej by ją obezwładnić i zniszczyć, posługiwał się środkami budzącymi w każdej duszy wstręt.

Straszne wojny punickie miały się już ku końcowi.

Hannibal na Rzym nie poszedł, wypoczynkiem długim w Kapui osłabił wojsk swoich siły, w legjony z nad Tybru wstąpił lepszy duch.

Wojna z Włoch przeniesioną została do Afryki, groźnego lwa postanowiono zaatakować w jego legowisku, Scypjon po pierwszych niepowodzeniach Rzymian, objął nad nimi naczelne dowództwo.

Kartagina została otoczona żelaznym łańcuchem najezdniczych wojsk.

Sądzono, że padnie bez wystrzału, doznano przecież zawodu.

Wszystko co w niej żyło, chwyciło za broń.

Mężczyźni i dzieci syпали szańce, kobiety poświęcały własne włosy, by z nich pleść liny do drapania się po murach.

Niepodejrzane chyba o przesadę świadectwa rzymskich historyków, mówią nam o bohaterstwie, jakiego wszyscy w obleż onem mieście dawali dowody, mówią i o tem także, że podsycala je pogarda ku Rzymianom, którzy wiedząc o swojej przewadze, znęcali się niejednokrotnie przed tem, nad swoją rywalką w ohydny sposób. Niezadowoleni tem, że ją po wypędzeniu z Włoch Hannibala, powalili o ziemię, że spalili wydaną im przez Kartagińczyków całą flotę, że im zabrali wszystko, co się tylko zabrać dało, - gdy ich zobaczyli upokorzonych do ostatnich nieledwie granic, ustami jednego ze „swoich konsulów pochwaliwszy za posłuszeństwo względem Senatu, kazali im cynicznie, opuścić bez oporu miasto, osiąść gdzieindziej, i spokojnie spoglądać, jak będzie ono burzone, by nie pozostał w niem na kamieniu kamień.

Ale takie urągawisko nie uszło urągającym płazem; zdobyli i zniszczyli Kartaginę, opór jednak, na jaki w ogołoconem ze wszystkiego mieście natrafili, przekonał ich o prawdziwie przysłowia, iż «pogarda przebija nawet skorupę żółwia».

I ten to opór, ten jej heroizm w chwili konania, w związku nie tyle z przewagą materyalną ile ze złą wiarą i perfidyą Rzymian, sprawiają, że gdy się chodzi po polu Kartaginy, gdy się myśli o niej, nie myśli się o ciemnych stronach jej politycznego bytu, jeno o jej chwilach ostatnich, w których tyle promiennych i jasnych ukazuje się przed wzrokiem.

Kartagina nieszczęśliwa i pogiębiona, z pośród tych zgłiszcz i ruin, wychodzi jak gdyby oczyszczoną i zrehabilitowaną, i blask rozlewa dokoła.

Tylko, że ten blask niema nic wspólnego z tym jaskrawym, jaki bije od tryumfatora, tylko że niby księżyc na ciemnym nieboskłonie, smutnie świeci pełen melancholii i cierpienia, czoło marszcząc głęboką zadumą.

Kto powie, który z tych dwóch blasków głębiej przenika, nie obojętną na nieszczęście ludzką duszę, który z nich wywołuje silniejszy refleks w wrażliwym na krzywdy

sumieniu?...

* * *

Ten maleńki skrawek afrykańskiej ziemi, tak pełen chwały i niedoli zarazem, w dziejach Francji zapisał się wyraźnymi zgłoskami.

Tu w roku 1270, umarł, dotknięty dżumą jej król, policzony w poczet świętych, Ludwik dziewiąty, który powodowany pobożną chęcią zatknięcia krzyża tam, gdzie półksiężyc panował, zawitał na to miejsce ze swojemi pułki.

W sześćset bez mała lat po jego zgonie, ojczyzna jego, zapragnęła uczcić go pomnikiem.

Wyprosiła więc sobie u ówczesnego Beja kawał ziemi i wniosła na nim skromną kapliczkę, ozdobioną wewnątrz, marmurowym posągami zmarłego.

Z czasem, gdy Tunetanie wciągnięto w sferę wpływu francuskiego, do tej kapliczki przysiadły się powoli religijne i świeckie budowle, wzniesiono Muzeum, przeznaczone na schronienie dla wykopalisk kartagińskich, salę krucyat ozdobioną nleszczególnymi zresztą freskami, przedstawiającymi ważniejsze epizody z życia króla.

Aż nareszcie dzieło ukoronowane zostało ostatecznie.

W dniu 15 maja 1890 roku, kardynał Lavignerie dokonał poświęcenia wspaniałej swoją powagą świątyni, panującej tu na tym pagórku, jak niegdyś Kartagina na nim panowała.

Świątynia jest poważna i piękna.

Styl maurytański łączy się w niej z bizantyńskim, łączy zręcznie, nie tworząc dysharmonii.

Doznaje się zatem wobec niej przyjemnych nader wrażeń, których nie mać żaden zgrzyt fałszywy.

Doznaje się zewnątrz i wewnątrz.

Bo te trzy nawy pooddzielane od siebie żelazne mi arkadami, spadającymi na kolumny z marmuru kararyjskiego, te arabeski rzeźbione i złocone, te okna, ani zanadto obszerne, ani za szczupłe, - wszystko to, łącznie z tym pomnikiem kardynała, tworzy całość harmonijną i wdzięczną.

Spogląda się więc na to z przyjemnością, widzi się bowiem, że w tem historycznym miejscu, Francja wystąpiła z czemś takim, co jest obrazem nie tylko jej potęgi, ale i artystycznej miary i smaku.

Twórca świątyni, zasłużony kardynał Lavignerie, dwa lata tylko cieszył się swoim dziełem.

Zmarł w roku 1892.

Zmarł, i tu pochowany został. Jego więc duch unosi się nad ruinami tej Kartaginy i zwiastuje jej, być może lepszą przyszłość.

Bogowie starożytnego świata nie uchwali jej od zagłady, krwawy punicki Moloch odbierający ofiary z niewinnych dzieci, nie odwrócił od niej morderczych ciosów, półksiężyc dokonał w niej dzieła zniszczenia...

Czy ją krzyż odrodzi?

Być może, ale choćby jak feniks powstała kiedyś jeszcze po raz trzeci z popiołów, będzie już tylko cieniem tego, czem była.

Cieniem, jak ten tam, przeobrażający się pod wpływem Europy Tunis, niby to ten sam co wczoraj, a przecież, jakże bardzo do wczorajszego niepodobny.

Jako chrześcijańskiej cywilizacji dzieci, rachując się z tym faktem, możemy dla honoru

jej żądać, by skoro tu raz przysła, wniosła z sobą na ten brzeg afrykański to, co stanowi nietylko materyalną jej chlubę.

By wysunawszy, jak w tej Kartaginie krzyż przed półksiężyc, szła naprzód wśród tych mahometańskich ludów z wzniosłymi zasadami, których symbolem dotykającym jest krzyż, - siała prawdę, sprawiedliwość i równość, by jednym słowem, czynem i przykładem mówiła temu obcemu jej, a nie pozbawionemu przecież cnót wielkich społeczeństwu, że tam, gdzie ona się usadawia, «miłość rządzi plemieniem człowieczem, a trofeami świata są ofiary».

A wtedy, nie będzie postrachem dla tych, którzy wykarmieni na innych ideałach, widząc co się dziś pod jej płaszczykiem tu i owdzie dzieje, odwracają się od niej z niechęcią, jeżeli nawet nie ze wstrętem.

Nazajutrz po zwiedzeniu Kartaginy, tego osobliwego miejsca na świecie, w którym, jak się wyraził poeta francuzki, «zginęły nawet ruiny» (*«les ruines mêmes ont péri»*), ranną godziną opuściłem Tunis.

Po ulewnym i zimnym dniu, nastął niespodziewanie słoneczny i ciepły, niebo Afryki, zmienne i kapryśne, roztoczyło przedemną wszystkie swe blaski.

Cyprisy zajaśniały barwami szmaragdu, palmy uniosły dumnie ku górze korony swoich drzew, woń kwiatów napełniła powietrze.

Ptactwo świergotało wśród gajów, ludzie ochoczo krążyli po ulicach, wszystko się weseliło i śmiało, Tunis tak posepny i smutny wczoraj, przybrał jak gdyby odświętną szatę.

Jechałem koleją żelazną.

Przedemną leżała daleka droga, - Konstantyna, tak zaciekle broniąca niegdyś swojej od Francuzów niezależności, Timgad, ta Pompeja afrykańska, pełna cudów odgrzebanego starego świata, piaszczysta Sahara, Algier, Oran, wielomeczetowy Tlemcen...

Lista osobliwości niezwykłych, mogąca zawrócić w głowie.

Pociąg ruszył.

Tunis znikł z przed moich oczów, ukazały mi się domy kolonistów. uprawne pola, ogrody.

Meczety pozapadały się niby gdzieś w ziemię, charakterystyczne postacie w białych opończach, ustąpiły miejsca kaftanom i bluzom, miałem przed sobą obraz jak gdyby drugiej jakiejś Europy, gospodarnej, zabiegliwej, zamożnej.

Nie zajmowały mnie przecież wyłącznie te obrazy.

Myślałem o tym na pół zachodnim, na pół wschodnim Tunisie, o tych pełnych różnaitości typach, jakie przesuwają mi się w nim przed oczyma, o jego meczetach, dziwnym bazarze, opuszczonych cmentarzach, o tych gruzach, wśród których krążyłem wczoraj.

I zdało się mi, że przeniesiony nagle zostałem w odległe czasy, że się znajduję na forum rzymskim, że w chwili walki wszechwładnej Romy z afrykańską olbrzymką, udział biorę w obradach Senatu.

I głos suchy, urywany, mściwy jednego z jego członków doszedł do moich uszów, i powtarzał się w nich tysiackrotnie, odbijał echem, które mi spokojność odbierało:

«Kartagina powinna być zburzona»...

I przypomniałem sobie, że w niej dopiero co widział, przywiódłem na pamięć jej straszną pustkę, jej obrazy doszczętnego zniszczenia - i przejęty zostałem uczuciem wstrętu dla tych, co sianie ruin dokoła uważają za swój cel.

Wielki Boże, zawołałem w głębi ducha, gdy pociąg unosił mnie na skrzydłach pary ku granicy Algierii, nie proszę Cię o materyalne dostatki dla tych stron, jakie przebywam, ale

niezbadany w wyrokach swoich, oszczędź im przynajmniej jednego:

Oto, by bez względu na to, co zajść jeszcze kiedyś na tych wybrzeżach może, nie dał tu się słyszeć z ust niczyich srogi i dziki wyrok, dzięki któremu stara Kartagina, tak wielka, tak wspaniała i potężna, dziś jest marnym, który wiatr rozwiewa - prochem.

II. Na Malcie

I.

Z Tunisu do La Valetty. - Miniaturowy archipelag. - Cacko i skarb.

Parowiec, na którym nie bez przykrych przygód odbyłem podróż z Marsylii do Tunisu, odpoczywał w porcie zaledwie 19 godzin. Nazajutrz więc już po przybyciu do tego miasta, zanim jeszcze przestąpiłem próg mahometańskiego Tunisu, stanęła mi w głowie do rozstrzygnięcia następująca, ważna dla każdego podróżnika kwestya: albo pozostać w Afryce i puścić się bez żadnych zboczeń w jej głąb, albo też, korzystając ze sposobności, zrobić wycieczkę na Malte i, powróciwszy następnie do Tunisu, oddać się już ciałem i duszą czarnemu lądowi i jego różnokolorowym mieszkańcom.

Kto nie przyzna, że pokusa zobaczenia miejscowości mało znanej a niezmiernie ciekawej była nad wszelki opis silną, kto się zdziwi, że uległem jej, i to, mając nadzieję prędkiego powrotu do dawnej siedziby Kartagińczyków, zanim jeszcze poznałem dobrze teren ich wojennej chwały, cmentarz ich zamarłej wielkości.

Pojechałem.

Żegluga była spokojna, i trwała zaledwie kilkanaście godzin.

«Morze straszne» – tym razem było przyjemne i łaskawe, i jakgdyby pragnęło nas wynagrodzić za dolegliwości przeprawy z Marsylii, roztaczało przed nami swoje powaby.

Wdzięczyło się do nas miłośnie, olśniewało lazuru i opalu barwą, falowało na swojej powierzchni tak lekko, iż zdało się, że było jakimś zacisznym jeziorem, i wyprowadziwszy nas wszystkich na pokład, niemym a przecież zrozumiałym głosem jak gdyby mówiło do nas: «oto jestem w pełni potęgi mojej przed wami, a przecież potulne jak baranek; nie lękajcie się mnie jak dziecka, nie uciekajcie ode mnie jak przed strachem bom nie grożę, jeno pokojem, nie zniszczeniem, lecz wselem i życiem».

Więc szliśmy ku niemu, więc przyglądaliśmy mu się z zaciekawieniem i, niebardzo wierząc niezmienności jego humorów, podziwialiśmy przecież powagę jego chwilowego majestatu, nie zamaconą cieniem nawet kaprysu.

A tymczasem słońce zstąpiło powoli z wyżyn ku dołowi, spracowane całodzienną wędrówką, zanurzało się leniwie w wodzie, raz z poza fal ukazało krwawe swoje oblicze, to znowu ukryło je wstydliwie, wreszcie z godnością i powagą zgasło.

«Tak umiera bohater» – powiedziałem w myśli za Szyllerem, i gdy mrok nocny, dziecko zejścia z widnokregu słońca, roztoczył się dokoła, zeszedłem do mojej kajuty, by wspominać to, com na ziemi Afryki w dniu tym widział, śnić o tem, co w dniu jutrzejszym na skalistej, nieznaney wyspie oczy moje oglądać mają.

Ale i wspomnienia i sny nie przychodzą na zawołanie, i zaledwie się znalazł sam w czterech moich pod pokładem ścianach, sen, ten Mickiewiczowski brat śmierci, skleił mi silnie powieki, a kiedym je nazajutrz otworzył, nie byłem w stanie zdać sobie sprawy z tego, czy i co przed zaśnięciem wspominałem, czy i o czem w długotrwałym moim odpoczynku marzyłem.

Afryka i Malta wirowały mi w głowie, a w sercu? - w sercu odezwała się głucha tęsknota za tem, com pozostawił tam, na mrocznej północy, a co z mojem, rzuconem wołą losów na dalekiego południa morze, jestestwem, wiązało się silną nicią obowiązku i miłości...

Kiedym się po opuszczeniu kajuty mojej, w nielicznym męzkim towarzystwie znalazł na pokładzie i rozejrzał dokoła, dostrzegłem w niewielkiej odległości ląd.

Ląd był skalisty i od słońca spieczony, unoszący się półkolistą masą ponad fale wodne,

ład bezludny, pusty cichy...

Żadne domostwo nie sterczało nad ziemią, żaden człowiek nie przeglądał się w zwierciadle morza, nigdzie bydłęcia, doszukującego się pokarmu, nigdzie trawki, mogącej być dla niego pożywieniem.

To Gozo – ponury przedsiemek Malty, wysepka okrągła, oddzielona od niej niewielkim przesmykiem, Kiedyś stanowiła zapewne jedną z nią całość, ale kataklizm podziemny oderwał ją od reszty terenu, i już po koniec świata wieść będzie samodzielny żywot, chyba, że ta sama siła wulkaniczna, która ją niegdyś rozczłonkowała, zgotuje jej na tych przestrzeniach wodnych grób.

Zaraz za Gozo, a jeszcze przed Malcią, dostrzegam dwie, tej samej, co Gozo, formacji kępki: Camino i Caminotto, a ledwo mam czas od nich oko odwrócić, ukazuje mi się jakiś olbrzym wśród tych liliputów, Tytan wśród tych Pigmejów, słynna z piękności, znaczenia strategicznego i przeszłości Malta.

«Ville de Tunis», na którym odbywam moją wędrówkę, opływa północno-wschodnie jej wybrzeża, a opływa w tak niewielkiej odległości, że dozwala mi jak najdokładniej zdawać sobie z figury ich sprawę.

W oczy więc moje wpadają przedewszystkiem dwie niewielkie zatoki, dalej prosta długa linja dość regularnych skał, ale krajobraz przedstawia mi się równie, jak na Gozo, pustym, równie smutnym, bezdrzewnym i bezludnym.

Po tym Tunisie ruchliwym i hałaśnym, zdaje mi się, że wjechał w jakąś bezduszną pustynię, gdzie puls nie bije, krew nie krąży, błogosławiony promień słońca jałowej ziemi nie zapładnia niczem, zdaje mi się jednak tak tylko przez chwilę, bo oto statek robi gwałtowny na prawo zwrot, i oczom moim ukazuje się wielkie niekształtne jezioro, zabudowane, jak okiem można sięgnąć; białymi domostwami.

To jezioro, to port wyspy, a te domostwa, to z jednej strony jej stolica, La Valetta, z drugiej oddzielne osady, coś w rodzaju wysuniętych na prawo i lewo jej przedmieść.

Naturalnie, że wszyscy, zwracają się w stronę tej stolicy, że z zajęciem przyglądają się amfiteatralnym jej kształtom, i z niecierpliwością schodzą do małych łódek, by za nie całego szylinga przebyć dość znaczną przestrzeń, oddzielającą okręt od miasta.

La Valetta, miasto nawskróś włoskie, stanowiące przeciw przynależność monarchii brytańskiej, na pierwszy rzut oka robi wrażenie dużego miasta.

Rzeczywiście przeciw dużem nie jest. Ale domy piętrzące się jedne nad drugimi na skalistym przylądku, uniesionym nad poziom morza na przeszło sto stóp, ale wieże katedry, dominujące nad okoliczne mi dachami, kiedy się im przygląda z wątlej barki, robią wrażenie niezmiernie imponujące, I poza sobą każą się domyślać czegoś, uzupełniającego je w rozmiarach odpowiednich temu, co je na plan pierwszy wysuwa. Tego «czegoś» - w La Valecie niema, miasto całe jest w rzeczywistości tem samym, czem się przyjezdnemu od strony morza okazuje, i nie przestając być niezmiernie powabnem, z wielkością przeciw, której złudzenie daje, nie ma jako żywo nic wspólnego.

Jest małem cackiem, wciśniłem w środek kipiącej od życia zatoki, *cackiem* dla oka, *skarbem* przeciw nieocenionym dla tych, którzy twardą nogę w niem postawili.

Zanim cacko roztoczy przed nami swoje powaby, niechaj w pierw *skarb* przemówi do nas głosem przeżytych stuleci, objaśni, czem był i jaką rolę odgrywał niegdyś w świecie, jaką kolejną zmiennych, jak humor kobiet, losów, stał się na tem morzu włoskiem niezdobytą twierdzą tych, którzy, posiadłszy Gibraltar, Egipt i Cypr, dyktują prawa zarówno temu morzu, jak i tym, co chcieliby nie bacznie z ich szkodą mieć w niem na swoją korzyść

wodę.

II.

Ci co tu przeszli. - Z dziejów wyspy. - Kawalerowie maltańscy. - Ci co tu są.

Podobno szczęśliwe są te miasta i narody, które nie mają historii, bo nikt ich nie pożądał i nikt o nie walk nie toczył,- otóż Malta do szczęśliwych zaliczać się nie może, bo historię ma.

Burzliwą i krwawą.

Dzięki temu, że leży na środku morza Śródziemnego, pomiędzy Sycylią i Afryką, że jest jak gdyby współwłasnością dwóch części świata, wszystkie niemal ludy zamieszkujące te światy, przychodziły do niej nie w charakterze gości lecz wrogów, i zbrojną ręką obejmowały ją w swoje posiadanie.

Obejmowały, mimo, że była i jest maleńką, mimo, że naturalne jej bogactwa nieledwie w rachubę nie mogą być brane.

Ale położenie jej było tym magnesem, który ciągnął ku niej, niby lep muchy, więc gruchotano tu sobie kości i rozlewano morze krwi, by nogę postawić w miejscu, z kądem można było dyktować narodom okolicznym prawa i nieść im kajdany.

Więc Fenicyanie, Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Arabowie, Normannowie, Francuzi, Niemcy, Aragończycy, Rycerze św. Jana i znowu Francuzi, zmieniają się tu jak szkła w kalejdoskopie, aż gdy nadszedł początek zeszłego wieku, Anglja usadowiła się na wyspie z całą swoją potęgą, i czując jej strategiczną wartość, zamieniła ją w fort niezdobyty. I stoi w tym forcie tak silnie, jak żaden z narodów, które Malta władały w kolei zmiennych czasów.

Pierwsi, którzy poznali się na ważności tej wyspy, - jeśli wierzyć starym kronikom, - byli Fenicyanie.

Na tysiąc czterysta przeszło lat przed narodzeniem Chrystusa, zawitali tu w charakterze handlowców, i uderzeni dogodnością przystani morskich, ujarzmili lud, pędzący na niej marne, półdzikie życie.

I zrobili dla Malty wiele, zgromadzili w jej portach niezliczone produkty gleby, i rozpoczynając z okolicznymi ludami handel na wielką skalę, doprowadzili ją do kwitnącego stanu.

Resztki świątyń Herkulesa i Eskulapa świadczą, że handlując, nie zapominali i o kulturalnych interesach kraju.

Fenicyanie władali wyspą przeszło lat 700, najdłużej ze wszystkich, którzy tu po nich się osiedlili, nie pozostawili po sobie takich jednak śladów, jak Arabowie, choć ci ostatni zaledwie dwieście dwadzieścia lat dyktowali Maltańczykom swoje prawa.

Ślady te spoczywają w języku.

Język to włoski bez żadnego zaprzeczenia, ale tak upstrzony arabszczyzną, że Schlienz, kompetentny w tem, jak żaden może inny, nie wahał się orzec, iż «wszystkie w nim wyrazy, z małymi wyjątkami, są nawskróś arabskie i zgodne są z prawidłami, nawet z anomaljami gramatyki arabskiej».

Nie przesądzam, jako niekompetentny, czy tak jest istotnie, poświadczyć to jednak mogę, że przysłuchując się temu językowi, nie byłem go w stanie, znając język włoski, rozumieć.

Zrobiła się z niego mieszanina tak dziwna, że wieśniak maltański, bez pomocy tłumacza nie byłby w stanie zrozumieć nie tylko Dantego i Petrarki, ale Silvio Pelico i Leopardiego.

O ileż szczęśliwszym jest mieszkaniec naszych strzech wiejskich, który «Panem Tadeuszem» lub «Grażyną» na równi ze mną rozkoszować się może.

O ileż szczęśliwszym - nie tu tylko bowiem, ale w całych, jak szerokie i długie, Włoszech, chcąc naprzykład uprzystępnić zrozumienie «Jerozolimy Wyzwolonej» Torkwatta Tassa, musiano ją przełożyć na kilka narzeczy, jakimi posługuje się ludność miejscowa.

Arabowie, jak powiedziałem wyżej, władali Malta lat 220, z tych przecież, którzy po nich przybyli, najwięcej interesu budzą rycerze św. Jana Jerozolimskiego.

Pozostawmy więc ich wszystkich na stronie, i poświęćmy tym rycerzom słów kilka.

Zasługują na to, unieśmiertelnili bowiem nazwę swojego kraju w rocznikach świata.

Pomysł powierzenia wyspy religijnemu zakonowi, przynależy papieżowi Klemensowi VII, na prośbę którego Karol I, władający nią wtedy, sprowadził tu tych rycerzy.

A byli oni pod ten czas w położeniu trudnym, dopiero co wypędzono ich z wyspy Rhodos, tułali się więc przez lat kilka bez stałego dachu nad głowami, póki im nie ukazano przystani pewnej, gdzie mogli bez przeszkody spełniać swoje religijne obrządki i pracować nad dziełem kultury.

Pierwszy więc ich Mistrz Wielki, który z towarzyszami swymi nogę na wyspie postawił - L'Isle Adam, objął Malte w posiadanie w roku 1530, i do roku 1798 następcy jego władali nią, jak prawem swoim dziedzictwem. póki rewolucya francuzka, która dokonała tyle zmian w świecie, i tu nie obaliła istniejących półtrzecia przeszło wieku porządków.

Ten, który był jej dzieckiem i grabarzem, który, jak się o nim wyraził nieśmiertelny poeta:

«Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,

«Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych

«Ciskając grom po gromie»,

i tu krwawo zaznaczył swoje imię.

Czując niezmiernie znaczenie Malty na morzu Śródziemnym, wylądował tu Bonaparte w czerwcu 1798 roku, i zadał cios ostateczny rycerzom Maltańskim.

I nie podnieśli się już z pod brzemienia tego ciosu nigdy, choć zawierucha wszechświatowa jego samego zwiłała z widowni świata, i to, co on kunsztownie skleił, wywróciła, niby domki z kart.

Przyszła po nim Anglja, a ta już nie miała żadnego interesu wskrzeszać to, co on wywrócił i podeptał nogami.

Zakon więc Maltański przestał istnieć - jak na wielu punktach świata, lew brytański legł na jej skałach swojemi pazurami, i spoczywa tu lat już sto przeszło, ufny, że spoczywać będzie na wyspie wiecznie.

Czy będzie?

Wyższe, niezbadane przez nas wyroki, dadzą odpowiedź na to pytanie, ale gdy się nad rozwiązaniem takowego niepotrzebnie głowę trzodzi, z szybkością błyskawicy, przez myśl przesuują się: i Fenicyanie, i Kartagińczycy, i Grecy, i Rzymianie i tylu, tylu potentatów świata, którzy przeszli tu jak burza, wicherzyli jak huragan w piaszczystej pustyni, hardo ku górze nosili karki, a po których, prócz kilku ruin i wyrazów w słowniku, nie pozostało dziś nic.

Czy więc lew brytański spoczywać będzie na skałach Malty wiecznie?

III.

Stolica Malty. - Co jest w niej godnego widzenia? - Wędrówka po mieście. - Katedra. - Przed wielkimi prochami.

Wysiadam z łódki, którą płynąłem od mojego statku z pół godziny, I pnę się ku górze. Uliczką krętą, doprowadzającą mnie do samego środka miasta. Do mojej «vettury» wsiada przewodnik stary, i niedołącznie zaczyna mi rozpowiadać o osobliwościach stolicy wyspy.

Wolę go nie słuchać i patrzeć, zwłaszcza też że mam na co.

Co chwila znajduję się wyżej, co chwila też roztaczają mi się przed oczami nowe krajobrazy.

Oglądam się poza siebie - mam morze, zabudowane dokoła i zmieniające kolory od słońca promieni, spoglądam wprost, widzę gmachy piękne, ludzi ożywionych niezwykle.

Przyjechałem na Maltę w kilka dni po wielkim narodowym zgromadzeniu, domagającym się od Anglików większego uwzględnienia języka włoskiego, ożywienie więc to mieszkańców jej stolicy jest wywołane fermentem w umysłach, wobec potrzeb niedostatecznie uwzględnianych.

Wpadają mi w oczy postaci niewieście. Czarne jak widma, o ognistych błyszczących oczach, biegną prędko środkiem ulicy, osłonięte dziwnym nakryciem, nadającym im niezmiernie oryginalne znamię. Kaptur nie kaptur, welon nie welon - co to jest? - pytam sam siebie, przyglądając się im uważnie.

W mojej «vetturze» siedzi młoda kobieta, którą mój przewodnik zabrał za kilka pensów z portu do miasta, i ta objaśnia mnie, że to jest. coś w rodzaju czarnego fartucha, sfałdowanego nad głową w sztywny, jak gdyby ukrochmalony czepek.

Ubiór narodowy. Czy piękny? nie powiem, choć rzecz zresztą to gustu, wpadały mi przecież w oczy kobiety, które nosiły go bardzo zgrabnie i krasily wdziękiem niezwykłym.

Ale czy twarz piękna i powabne kształty, nie idealizują zawsze i wszędzie tego, czem się niewolnice mody i zwyczaju przystrajają, by osiągnąć te cele, ku jakim dążą od świata chyba zarania.

Wjeżdżamy na niewielki plac, i opuszczamy naszą «vetturę».

Chodzę po mieście, przyglądam się głównej arterii ruchu, prostej i szerokiej, bocznym, krytym i wspinającym się jak po schodach, wreszcie zwracam kroki moje ku zabytkowi, przedstawiającego dla podróżnego w Lavalecie największy interes.

Katedra, i to katedra niezwykła, maltańskich rycerzy Świętego Jana.

Z zewnątrz skromna, niczem nie mówi o swojej minionej wielkości, ale wejść do wnętrza, a choćbyś nie wiedział, gdzie jesteś, wyczytasz to jak w otwartej księdze.

Wyczytasz to dziś, choć to wnętrze obrabowali żołdacy Bonapartego, uniósłszy precz z sobą najcenniejsze jego skarby, cóż to więc musiało tu być wtenczas, gdy w religijnym poszanowaniu spoczywały one nietknięte na miejscu.

Tradycja mówi co było.

Była świątynia jedna z najbogatszych w całej Europie, od jednego tylko świętego Marka w Wenecyi uboższa na tem Śródziemnym morzu.

Ale i teraz jeszcze nie wiele na wybrzeżach tego morza, mogłoby z nią iść w zawody.

Królowa, majestatu pełna, choć obdarta i sponiewierana, nie przestała być królową.

Tylko królową zdetronizowaną z wspaniałego tronu i smutku pełną, świadcząca wymownie, ach doprawdy jak wymownie! o znikomościach tego dumnego, a przecież tak kruchego świata...

Co uderza, kiedy się przestępuje próg świątyni?

Obszar od góry do dołu wypełniony ornamentacjami i złoceniami.

A dalej? Mnogość kaplic na prawo i na lewo i wspaniała podłoga, wyłożona marmurowymi płytami. Tych płyt jest tu około czterystu, a na wielu z nich dostrzegam niezatarte dotąd napisy, uwieczniające słynnych członków zakonu.

Czy uwieczniające rzeczywiście?... Ileż z pomiędzy wyrytych tu nazwisk, które nosili mężowie możni i mocni, ileż z tych nazwisk przemawia do nas czem innym, jak pustym, niby bańka mydlana, gdy się je głośno odczytuje – dźwiękiem?...

Próżność nad próżnościami i wszystko próżność - powtarza się więc i tu za psalmistą.

Osoliwością tej katedry są kaplice ornamentowane niemniej bogato od jej głównego korpusu.

Kaplice to różnych narodów Europy.

Ukazują mi więc najprzód kastylską, ozdobioną dwoma pięknymi pomnikami Mistrzów, dalej hiszpańską, gdzie mnie uderzają cztery gustowne mauzolea, jeszcze dalej francuską, włoską, niemiecką. Wszystkie niewielkie pieścidełka, wyłożone rzeźbami w kamieniu i drzewie, wszystkie świadczące o zainteresowaniu, jakle ta świątynia budziła kiedyś w świecie. A w każdej z nich pamiątki historyczne, wstrząsające silnie duszą, budzące najprzeróżniejsze myśli w głowie.

Schodzę do podziemnej krypty, jestem w grobie aż dwunastu wielkich Mistrzów. Obcuje z duchem pierwszego spomiędzy nich L'Isle Adama, mam przed oczyma cztery kamienne płyty, zamykające popioły założyciela stolicy Malty, dzielnego La Valette.

I ten La Valette zatrzymuje mnie przed sobą najdłużej, bo on tu jeden, choć ta katedra w proch się rozsypie, przeżyje w pamięci ludzkiej wszystkich, co spoczywają dokoła niego w spokoju?

Czemu tak?

Rządził Maltą w drugiej połowie 16 wieku i wszedł w zatarg z monarchją Osmanów. Jeden z jego admirałów uderzył na handlowe szalupy Turków i w zaciętej walce załódze ich dotkliwie dał się we znaki. Zagotowało się więc w Stambule, rada Sułtana postanowiła, jeśli nie zmieść wyspę z powierzchni morza, to skuć w kajdany i przywieść w tryumfie nad Róg Złoty tych, którzy po jej powierzchni stąpali.

I uzbrojono olbrzymią flotę i wsadzono na jej pokład tysiące krwi żądnych Janczarów, i strach padł na całą Europę, bo Malta była drobna i słaba, a rozkazów Padyszacha, który obalił tyle królestw, słuchały, drżąc w pokorze, trzy części świata.

Ale jak powiedział nasz Starowolski pyszniącemu się swojemi tryumfami Karolowi Gustawowi w grobach na Wawelu, «los jest zmiennym a Bóg miłościwym».

Poniżył pysznych, wywyższył opuszczonych i po zażartych walkach dokoła wyspy, flotę najezdniców unicestwił i rozproszył.

A La Valette był jego narzędziem. Jego energia wlewała siły w słabych, jego wola łamała przeszkody, on był błyskawicą i piorunem, jego ogień rozżarzał we wszystkich płomienie dokoła.

I stało się coś nieprawdopodobnego. I zatryumfował nad niewiernymi. I pokazał co zrobić może gorące serce, zimna głowa i I żelazne ramię.

Dzisiaj tu śpi. Tu w tej krypcie, obok swoich poprzedników i następców, największy i czci ze wszystkich najgodniejszy.

Śpi.

Co wspomina, o czem w pozagrobowym świecie marzy? Może o tej chwale, która

nazwisko jego uczyniła tak głośnem, może o tym strasznym wrogu, z którego z małą garstką nogami zdeptał, o tej wielkiej nad głową swoją chmurze, z poza której słońce miłośnie ukazało mu swe oblicze - a może, może i o czym innym także...

O tem, - że wiara i nadzieja, dopóki nie opuszczą serc ludzkich, zawsze i wszędzie dokonywać będą cudów, i że nie materya lecz duch jest tą potęgą, przed którą ludzie, jeśli nie chcą zlodowacieć i skostnieć, schylać winni po koniec świata swoje czoła...

IV.

Dalsze wędrówki. - Pałac Mistrzów. - Jak się dziś przedstawia? - Anglja na Malcie.

Nazwałem La Valettę skarbem, nazwałem i cackiem.

Skarbem była od swego założenia i dziś jest, dzięki zatoce, stanowiącej wyborny, przestronny port, mogący dać bezpieczną przystań olbrzymiej flocie; jest i cackiem, bo z miast włoskich wyróżnia się tak znacząco, że kto ją raz widział, nie zapomni jej chyba nigdy.

Pomijam położenie na pagórku powoli spuszcającym się ku otchłaniom wodnym, - miast bo równie pięknie położonych jest we Włoszech nad morzem cały legjon, - ale gdy wszystkie nieledwie one, skoro się nogę na ich bruku postawi, rażą ciasnotą i nieporządkiem, La Valetta ciągnie ku sobie dziwnym składem i ładem, upodabiającemi ją raczej do miast południowej Francji, niż Italii.

Ma place czyste, ulice powietrzne i wi ne, domy uderzające jakąś wyszukaną kokieterią, a nawet tam, gdzie swoim arteriom miejskiego ruchu, każe piąć się ku górze i po kamiennych schodach unosi ciekawego przybysza coraz wyżej, nie daje oku takiego zaniedbania, jakie się spotyka w innych portowych miastach ojczyzny Dantego i Petrarki.

Zasługa to-li Anglików, wnoszących wszędzie z sobą, gdzie przychodzą, przede wszystkim porządek, wiedzieć nie mogę, to pewne przecież, że ta cecha miasta uderza każdego, kto się pod jego obłokami znajdzie.

A przy tem wszystkim, jest tu i to na każdym kroku tyle piękna, tyle pełnych uroczej harmonii tonów wlewa się do duszy, kiedy się jednym spojrzeniem ogarnie z dołu jego całość, tyle poezyi dyszy tu dokoła w promiennej, w mgle skąpanej atmosferze, że z pod uroku, jakim to miasto darzy, oswobodzić się trudno, choćby kto nawet, zajęty prozą życia, oswobodzić się od niego zapragnął.

I każdy też, jakikolwiekbyś powód przyprowadzi go tu ze stron dalekich, czy chce, czy nie chce, przyznać musi, że stolica Malty ma w sobie jakiś magnes, który pociąga ku niej z niezwykłą siłą, i że ten magnes jak raz kogo do siebie przylepi, już go nie łatwo puści precz w świat.

Doświadczyłem tego na sobie, i gdyby nie ta Afryka, która tam na południu czekała na mnie, by mi uchylić rąbek swoich tajemnic, kto wie, czy nad zakreślony czas nie pozostałbym w niej dłużej, tak mi tu bowiem było dobrze, wśród tego, nieznanego pod włoskiem niebem ładu i porządku, tyle harmonii i pełnych uroku wrażeń wchłaniała tu na każdym niemal kroku moja dusza.

La Valetta ma katedrę dawnych władców wyspy, maltańskich Mistrzów, ma i ich dawny pałac. Tylko, że nie tyle ciekawy, co katedra.

Podczas też, gdy tam, mimo, że ją bez miłosierdzia obrabowano, wszędzie widzimy ślady tego, co choć przeminęło bezpowrotnie, odbiło się przecież silnie na kulturze ludu, tu uderzają oczy nasze ściany zimne i martwe, nie mówiące nic i nie zdające się budzić w nas żadnych wspomnień.

Bo patrzmy.

Przed nami gmach rozległy i wielki. Jak wszystko w tem mieście, porządnym i czystym. Znać że jest on *dziś* rezydencją urzędową, nie znać, że był nią niegdyś. Wygląda, jak gdyby wczoraj dopiero odjęto od jego ścian rusztowanie, pieczęć wieków nie odcisnęła się na nim

wcale. Przeszły nad jego dachem la,ta, jak przechodzą w głowie dziecka wspomnienia i o przyszłości myśli, - bez wyrzeka na jego czole zmarszczek. Jest tem, czem chciano, aby był dziś, nie tem, czem był wczoraj. Robi to nieprzyjemne wrażenie, bo się oczekiwało przed nim czego innego, ale się godzi z tem, chociaż niechętnie, i przekracza jego próg.

Tu już, że stawiamy słowa poety, «czuć Anglja» i to na każdym kroku.

Wchodzę na podwórze - dowiaduję się, że jest to podwórze księcia Alberta, patrzę na drzewo, informują mnie, że je posadził książę edyngburski. Idę dalej, mam przed sobą podwórze drugie, ochrzczone mianem księcia Walii, podnoszę oczy do góry, widzę marmurowe tablice, upamiętniające pobyt w tych murach synów zmarłej królowej Wiktorii.

Anglja, Anglja, ta sama co w Londynie, w Kanadzie, w Egipcie, w Indyach, w Australii, którą się spotyka podróżując po świecie wszędzie, z jej niezrównaną cywilizacją, wielką i wspaniałą poezją, z jej samorządem, którym wszystkich, gdzie tylko nogę postawi, darzy, - ale i z jej bezwzględnością i egoizmem, wyzyskiem i bezduszną brutalnością.

Anglja, Anglja - podziw całego świata, zarazem jednak i nauka, przypominająca tę niezbłą prawdę, że i największe i najoświecenijsze narody, winny kłaść hamulce na swoich popędach, zmierzających do zdobywania coraz większego znaczenia i bogactwa.

W pałacu rezyduje gubernator wyspy.

Kraik, którym z ramienia ministrów znad Tamizy rządzi, mały, ale rola jego wielka. Trzyma, bo on na tej odludnej skale straż, pilnuje, by na tem morzu nie zaszło nic takiego, co mogłoby podkopać znaczenie państwa, którego Malta jest, po odstąpieniu Helgolandu Niemcom, bodaj czy nie najdrobniejszym w świecie zakątkiem. Kto nie zapomniał, jaki hałas wywołało w Europie podczas ostatniej wojny, która dała niepodległość ujarzmionej tak długo Bułgarii, sprowadzenie do portu w La Valecie Sepojów indyjskich, ten zrozumie, że dostojnik rezydujący w pałacu wielkich Mistrzów, nie po to tylko stąpa po tych tam komnatach, by od czasu do czasu przyjąć z urzędową pompą przyjeżdżających tu członków rodziny królewskiej.

Kiedym bawił na Malcie, gościł on w stolicy, nie mogłem więc zobaczyć żadnej z tych komnat. Mój przewodnik przecież zapewniał mnie, że są one godne widzenia. Mają być rozległe i elegancyi pełne, bogate od mozaik i marmurów. Gust dawnych włoskich władców wyspy i złoto panów jej dzisiejszych, nic dziwnego, że wiele tu dla oka stworzyć zdołały.

Czy jednak dusza widza, gdy na to wszystko spogląda, nie jest tak obojętną jak gdy się on zimnym choć nie brzydkim murem z zewnątrz przygląda? Nie wiem, gdyż, powtarzam, w komnatach tych nie byłem.

Żałuję tego jednak.

Zobaczyłbym bowiem coś ciekawego. Trąbę, z której się smutne rozchodziły w przestworzu dźwięki, gdy zakon przed przybyciem na Maltę wypędzono z wyspy Rhodos.

Może gdybym jej się przyjrzał, powiedziała mi coś ona, może myśl nowa przesunęłaby mi się przez głowę, a może patrząc uważnie na nią, ujrzałbym nawet oczami mojego ducha, poważny ku brzegom morza pochód wypędzanych półksięży, półtrycerzy, z głowami opuszczonemi na dół i pełnemi rezygnacyi spojrzzeniami, postyszałbym dalekie echa z wydobywających się z niej wtedy cmentarnych dźwięków, mówiących im, że zamknął się przed nimi okres życia stary, a rozpocząć ma w odległej na zachodzie siedzibie, pełen walk, niepewności i trudów, - nieznanym i nowym.

A wtedy zrozumiałbym, kto wie czy nie lepiej i uczucia, jakle przenikały tych ludzi w tej uroczystej chwili, i rozwikłał być może zagadkę ich na Malcie, w ciągu trzech stuleci, pełnego chwały i znaczenia, ale zarazem i łzawej tragedyi, - żywota.

V. Kaplica kości. - "Świat jest teatrem, a życie człowieka tragedią". - Zakończenie.

Jest przecież jedna pamiątka w stolicy Malty, którą widzieć każdy przyjezdny musi.

Kaplica kości.

Poniżej klubu żołnierskiego, na uliczce opuszczającej się ku morzu, wznosi się ona, ale niczem, powierzchownym swoim wyglądem nie świadczy o tem, co się w jej ustronnych murach znajduje.

Kto przestąpił progi tych murów, ten potwierdzi, iż znajduje się w nich coś takiego, czego się nigdy w życiu nie widziało, czego się nigdzie na świecie nie zobaczy.

Kiedyś tuż przy niej stał szpital dla nieuleczalnych, kiedyś obowiązki kapelana spełniał w nim pewien, przejęty głębiej może od innych, przeświadczeniem o nędzach tego życia, ksiądz.

Otóż przyszła mu myśl dziwna, ale zarazem i pusta.

Postanowił wewnątrz kaplicy, w której religijne obrządki sprawował, ubrać śmiertelnymi szczątkami ludzi co odbywszy przed nim doczesną swoją wędrówkę, «snem nieprzespanym» spali na cmentarzu.

Zakłócił więc ich spokój, wydobył z trumien i ziemi, porozdzielał na części, i posiadłszy tym sposobem setki czaszek i tysiące piszczeli, zabrał się do swojego osobliwego dzieła.

Zabrał się z myślami pustelnika, ale nie bez pewnego gustu artysty.

Nieinaczej - to bowiem, co stworzył, kiedy się zapomniał o materyale, w który swój pomysł wcielał, niezbyt zwłaszcza wymagającym, wydać się może nawet gustownem.

Ale przede wszystkim jest niesmacznem.

Co uderza, gdy się przestąpi próg?

Niewielka i niewysoka nawa, bogato udekorowana od góry do dołu.

Wszystkie wolne na jej ścianach i suficie miejsca wypełnione ornamentacyami, wszędzie z jaśniejszego tła, wydobywają się na światło dzienne ciemniejsze ozdoby.

Kto z pewnej odległości ogarnia okiem dobrze całość i nie jest w stanie od razu zdać sobie sprawy dokładnej ze szczegółów, temu, na pierwszy rzut oka zdaje się, że te ozdoby są z drzewa lub z kamienia, lub też, że je malarz zręcznie narysował, uwypukliwszy dość gustownie pendzlem, by je upodobnić do natury.

Tak się zdaje, bo się na to przypuszczenie nawet nie wpada, by te czerepy i kości dokoła, mogły być składowymi częściami istot, co żyły, cierpiały, kochały, nienawidziły, w których piersiach krew gorąca krążyła, serce biło, których ożywiały i unosiły kiedyś ku wyżynom szlachetne i podniosłe myśli, poniżały i kalały w błocie poziome instynkta.

Na to przypuszczenie się nie wpada, ale tylko przez chwil kilka, bo skoro się przestąpi próg, zamienia się ono w pewność.

Gdzie jesteśmy?

Jesteśmy w grobowym przybytku, patrzymy na ludzkie kości

Wyrwano je cmentarzom, pomieszano tak bezładnie z sobą, że na biblijny sąd ostateczny niepodobna już im chyba będzie trafić do swoich przynależności, i poprzybijano na tym murze - poco? - najniezawodniej po to, aby obudzały grozę.

Zamiar chybiony.

Szło temu, co je tu z różnych pieczar i dołów pozgromadzał, by wchodzącego do tej

świątyni przeświadczały o znikomości rzeczy ludzkich, myśli o śmierci, kończącej (ach, jak prędko nieraz kończącej!) wszystkie nasze doczesne zabiegi, wślazały mu do głowy, a w jego duszy powołuje do życia uczucia, bardzo blisko graniczące ze wstrętem.

Dlaczego?

Bo jest coś takiego na świecie, czego tknąć się nie godzi, a tem jest grób, bo są przedmioty, które pozostawione powinny być w wiecznym spokoju, a temi przedmiotami są ciała i szkielety.

Posługiwać się nimi, jako materiałem, dla osiągnięcia chociażby najpodnioślejszych celów - rzecz niegodna, czynić z nich widowisko publiczne – profanacja.

I dlatego, chociaż wielu na to z zachwytem patrzy, na mnie przynajmniej ten dziwaczny przybytek zrobił wrażenie przykre, i dlatego przyglądałem się jego szczegółom z odrazą, bom, stojąc tu, czułem, że ten, który w tej kaplicy pomysł swój przyoblekł w ciało, skalał to, co poszanowanie budzić powinno, nie osiągnąwszy przy tem tych celów, do jakich zmierzał, kiedy się do roboty zabierał.

Instynktownie musiał to chyba i on sam przewidywać - wstąpiwszy w progi tego kościołka, kiedy już wszystko wykończone w nim zostało, musiał i on doznawać wrażeń nie takich, jakie osiągnąć zamierzał, bo na ołtarzu na najwidoczniejszym miejscu umieścił napis, będący czemś w rodzaju wykładni dla tych wszystkich, którzy myśli jego na widok tych czaszek nie byli w stanie z dokładnością odgadnąć.

I ten napis dopiero mówi nam wyraźnie, o co mu tu chodziło, rozwiązuje te niesmaczne hieroglify dokoła nas i nad naszemi głowami, i wobec niego dopiero przystajemy w pełni poważnego nastroju, wspominając to, o czem nigdy zapominać się nie powinno.

Przepiszmy tu napisu tego słowa, przełożmy je na nasz język, gdyby bowiem ludzie więcej niż dziś przejmowali się zawartą w nich prawdą, mniej niezawodnie byłoby na świecie krzywd kobiecych, sierocych niedoli - krwi i łez...

«Świat jest teatrem, a życie ludzkie jest nie cz~m innym, jak tragedya.

«Każda rzecz ludzka jest uosobieniem marności.

«Śmierć kończy wszystkie nasze złudzenia i jest kresem wszystkich projektów człowieczych.

«Każdy kto nawiedza to miejsce, niechaj się przejmie temi zasadami, i modląc się za spokój tych, którzy tu spoczywają, niechaj unosi z sobą niezatarte wspomnienie zgonu.

«Pokój z nim»

* * *

W niewielkiej barce dobijałem do mego parowca, mającego mnie przewieźć z powrotem do Afryki.

Kołysał się on na falujących wodach portu, oczekując chwili odjazdu.

Ze wszech stron ściągali ku niemu przygodni goście La Valetty, oraz powracający z Egiptu do Europy Anglicy, którzy nie mogli się oprzeć chęci zobaczenia małej wyspy i jej stolicy.

Na pokładzie było nas mniej, niż gdyśmy wyjeżdżali z Tunisu, ale jakość towarzystwa przechodziła o wiele jego ilość.

Byłem otoczony, jak to odrazu mogłem rozeznąć, przedstawicielami wyższych klas angielskich, mowa Byrona dolatywała ciągle do moich uszów.

Z dumą, cechującą Anglików tych klas wszędzie, przechadzali się oni po pokładzie,

przyglądając się z zajęciem wyspie, dla dobrobytu której w ciągu ostatnich stu lat uczynili rzeczywiście dużo.

Pobudowali szpitale i szkoły, pourządzali drogi, poprowadzili kolej żelazną z La Valetty do Citta Vecchia, i podnieśli tak wysoko intelektualny stan Malty, że dziś wychodzi na niej aż dwadzieścia dwa pism peryodycznych, z których tylko 5 po angielsku, a reszta w języku włoskim, w narzeczu miejscowem, a nawet w języku arabskim.

Rzecz powtarzam nie do uwierzenia, i chyba niema na ziemi innego tej wielkości punktu, gdzie by z czemś podobnem można było się spotkać.

Ruszyliśmy.

Ujrzałem znowu wieże sławnej katedry, amfiteatralnie zabudowane po obu stronach zatoki pagórki, zdające się stanowić jedno, rozdzielone jakgdyby szerokiem jeziorem, miasto, nagie skały schodzące do wody, lazur spokojnego morza, odbijającego się leniwo o spieczone od słońca ich ściany.

Wszystko takie samo jak wtedy, gdym tu po raz pierwszy przybijał, wszystko niezmienione ani na włos, wszystko... prócz mnie samego, wzbogaconego wiązką nowych wrażeń, nakarmionego małym co prawda, ale pożywnym przecież ziarenkiem doświadczenia i nauki.

Mijam Malte, mijam Camino i Caminotto, urodzajna, ale kamienista na wybrzeżach Gozo ukazuje się moim oczom.

Homer przychodzi mi na myśl, wspominam, że tu podobno kiedyś mieszkać miała urocza Kalipsa, że tu Odyszej zdawał się na jej łonie zapominać o swojej Penelopie, i powtarzam sobie dla rozrywki w myśli zapamiętane słowa z «Odyssei», malujące tę ważną w życiu greckiego bohatera chwilę:

«On na wyspie u nimfy Kalipsy tam siedzi,
«Jeńcem trzyman i dolą smutną swą się biedzi,
«Za domem utęskniony o powrocie marzy,
«A tam ani okrętów niema ni wiosłarzy,
«Coby go chcieli przywieźć przez morskich fal grzbiety,
«Teraz mu jedynaka zabić chcą, niestety».

Wreszcie i Gozo znika.

Rozlega się głos dzwonka.

To znak godziny obiadowej, która wszystkich gromadzi przy stole, poczem wszyscy wylegają na pokład, przyglądają się morzu majestatycznemu i cichemu, osłaniającemu się powoli szarzejącą coraz bardziej kotarą nocy, a za chwilę, ciszę na tej naszej wątlej łupinie, prującej fale niezmierzone okiem, przerywa tylko zgrzyt szruby okrętowej, i plusk o chwiejące się w tę i ową stronę deski, wody.

A nazajutrz?

Afryka, - dzika, ale bajecznie bogata Afryka, pełna tajemnic i zagadek przyszłości, teren współzawodnictwa narodów Europy, pole ich jutrzejszych krwawych walk między sobą, cel ich nienasyconej chciwości, ukazuje się w posepnych, swoich nagich gór kształtach.

Jestem powrotem w Tunisie.

KONIEC.

Tytuł: W Tunisie i na Malcie

Autor: Stanisław Bełza

Rok wydania oryginału: 1902 (wydanie I)

Wydawca: Warszawa - Gebethner i Wolff,
Kraków - G. Gebethner i spółka

Digitalizacja: Paweł Choiński